

PORADNIK

JEZYKOWY

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

Warszawa 1970



(277)

Redaktor i przewodniczący Komitetu Redakcyjnego:
prof. dr Witold Doroszewski
Zastępca redaktora: doc. dr Mieczysław Szymczak

KOMITET REDAKCYJNY

Dr Barbara Falińska, doc. dr Hubert Górniewicz (Gdańsk), doc. dr Halina Kurkowska,
dr Zofia Mianowska, doc. dr Leszek Moszyński (Toruń), dr Wanda Pomianowska,
doc. dr Andrzej Sieczkowski, prof. dr Stanisław Skorupka, prof. dr Zdzisław Stieber,
mgr Alicja Szlązakowa, prof. dr Witold Taszycki (Kraków)

Sekretarz Redakcji:
mgr Magdalena Foland

TRESC NUMERU

<i>Witold Doroszewski</i> : Funkcja poznawcza języka w jej projekcjach społecznych.	
I. Język jako narzędzie myśli i działania	61
<i>Piotr Bąk</i> : Gniezno w świetle topografii i toponimii wielkopolskiej	71
<i>Danuta Buttler</i> : Typy błędów leksykalnych. I. O niecelowych użyciach wyrazów	79
<i>Zygmunt Brocki</i> : Co to jest nazewnictwo marynistyczne?	85
<i>Zbigniew Kościelak</i> : Podręczniki języka polskiego dla cudzoziemców (charakterystyka, próba oceny oraz wykaz bibliograficzny)	91
<i>Theodor Bešta</i> : Pięć listów Zygmunta Milkowskiego (T. T. Jeża) do Jana Baudouina de Courtenay	99

RECENZJE

<i>Jan Tokarski</i> : Michał Jaworski — Nauczanie gramatyki języka ojczystego w szkołach podstawowych: studium porównawcze (na podstawie materiałów z Polski, ZSRR, Czechosłowacji, NRD, NRF, Austrii, Francji, Belgii i Szwajcarii)	103
<i>Alojzy Adam Zdaniukiewicz</i> : Feliks Przyłubski — Litery — nauka czytania i pisanie	106
<i>Edward Breza</i> : Nauka o języku w nowym podręczniku języka polskiego dla kl. V szkoły podstawowej	108
<i>Magdalena Foland</i> : Język polski — poprawność, piękno, ochrona	111
Kilka uwag miłośnika polszczyzny — <i>Mieczysław Smogorzewski</i>	116
CO PISZA O JĘZYKU? — A. S.	118
OBJASNIENIA WYRAZÓW I ZWROTÓW — W. D.	123

Komunikatem nr 142 (PR4-552-29/68) ogłoszonym w Dzienniku Urzędowym Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego z dnia 31 grudnia 1968 r. „Poradnik Językowy” polecony został jako pismo, które powinno się znaleźć w każdej bibliotece szkolnej i pedagogicznej.

Wydawca: Państwowe Wydawnictwo Naukowe. Warszawa ul. Miodowa 10
Redakcja: Warszawa, ul. Nowy Świat 72, Pałac Staszica, tel. 26-52-31 wewn. 90

Nakład 2580 (2416 + 164). Ark. wyd. 5,5. Ark. druk. 4,25. Papier druk. sat. kl. V, 65 g 70 × 100.
Cddano do składu 13.XII.1969. Podpisano do druku 14.II.70 Zam. 2291/69. K-40. Cena zł 6.—

Drukarnia im. Rewolucji Październikowej w Warszawie

PORADNIK JĘZYKOWY

MIESIĘCZNIK

(założony w r. 1901 przez Romana Zawilińskiego)

Witold Doroszewski

FUNKCJA POZNAWCZA JĘZYKA W JEJ PROJEKCJACH SPOŁECZNYCH

I. JĘZYK JAKO NARZĘDZIE MYŚLI I DZIAŁANIA

(wykłady w Polskiej Akademii Nauk w listopadzie i grudniu 1969 roku
i w styczniu 1970)

Myślałem, że będę w kolejnych wykładach referował kolejne rozdziały mojej książki, która pod ogólnym tytułem: „Elementy leksykologii i semiotyki” ukaże się w ciągu najbliższych miesięcy. Tymczasem prawdziwe są słowa Heraklita, że nie można wejść dwa razy do tej samej rzeki. Kiedy się coś przemyślało i wraca się ponownie do tego, co się już ma opracowane, to zawsze się widzi znany sobie temat w nowych związkach, w nowym świetle. Prawdą jest nie tylko to, że *si duo faciunt idem, non est idem*, tzn. «jeżeli dwóch robi to samo, to to nie jest to samo», ale i to także, że *si isdem bis facit idem, non est idem*, czyli «jeżeli ta sama osoba dwukrotnie czyni to samo, to to także nie jest to samo».

Co to jest poznawcza funkcja języka?

Poznawcza funkcja języka to jego funkcja polegająca na tym, że język dostarcza nam treści myślowych, wszelkich treści myślowych, bo treść myślowa przechodzi przez fazę sformułowania językowego; język jest z jednej strony zwierciadlanym odbiciem świata, który widać w nim, z drugiej strony jest to pryzmat, a ściślej biorąc, nawet układy pryzmatów, przez które patrzymy na świat, jest to sieć, którą nasza ujęzykowiona świadomość zarzuca na rzeczywistość po to, żeby z tej rzeczywistości wyławiać obiektywne byty. Ale ta sieć jest tak zorganizowana, że niekiedy te wyławiane przez nią obiektywne byty przybierają kształty takie, że nie jesteśmy pewni, co jest bytem obiektywnym, a co jest wytworem naszej myśli.

Będziemy się zastanawiali nad tym, jakiego rodzaju poznanie może się kryć w języku i co my właściwie poznajemy badając język? Na razie

031

nie definiuję bliżej, nie wnikam w to, jaka jest treść znaczeniowa czasownika *poznawać*, poprzestając na intuicyjnym rozumieniu tego wyrazu.

Naszą wiedzę — my — humaniści i w ogóle ludzie mówiący — formujemy w słowach. Badamy słowa i słowami wypowiadamy to, co myślimy o rzeczach badanych. I na tym polega niestety subiektywny charakter naszej wiedzy (tzn. tej wiedzy formułowanej w słowach); subiektywny, a jednocześnie społeczny, bo wszelka wiedza tkwiąca w języku ma charakter społeczny. Słowa są nam wspólne, a komunikowanie sobie wiedzy jest formą społecznego działania. Społeczny charakter wiedzy językowej stanowi jej najznamienniejszy rys, a zarazem największą trudność w docieraniu do jej treści, do tego, co się kryje poza słowami.

Chciałbym udowodnić, że jest rzeczą możliwą poznawanie rzeczywistości nawet przez pryzmat tych — czasem ją zniekształcających — kategorii pojęciowych, które tkwią w samym języku, i że można badać i język, i rzeczywistość, mając ufność co do tego, że poznajemy świat, który jest poza nami, że nie ulegamy złudzeniom, że nie bierzemy własnych naszych pomysłów za realne byty.

W związku z refleksjami na tak rozległe tematy może się nam przypomnieć stare sokratesowskie hasło: *γνώθι σεαυτόν*. Co nas skłania do cofania się tak daleko, do przypominania tych greckich słów dzisiaj?

Otóż, jeżeli jest rzeczą jasną, że efektywność działania maszyny zależy od tego, jaka jest zawartość pamięciowa tej maszyny, to tak samo nasze funkcjonowanie myślowe i poznawcze w znacznym stopniu zależy od tego, jakim balastem wiadomości rozporządzamy. Ten balast wiadomości ułatwia aktywność myśli, a jednocześnie zapewnia jej utrzymywanie się w pionie teoretycznej równowagi. Duchowi ludzkiemu — jak kiedyś powiedział Bacon — bardziej potrzeba ołowiu aniżeli skrzydeł. Ołów to grawitowanie ku ziemi, ku konkretnemu światu, w którym żyjemy.

Z dawną grecką formą *γνώθι* łączą się słowa, które do dziś żyją i oddają usługi, nawet się rozpleniają, rozkrzewiają w niektórych terminologiach naukowych: ten sam rdzeń, który mamy w formie *γνώθι* tkwi w takich słowach, jak *agnostycyzm*, *agnozja*, *gnozja*, *pole gnostyczne*, *gnoseologia* «teoria poznania». Oczywiście hasło *gnóti se autón* «poznaj samego siebie» nie znaczy: odwróć się od świata, ale znaczy: otwieraj coraz szerzej oczy na świat, staraj się zrozumieć, co oddziela twoje „ja” od „nie-ja”, przejmuj się osobiście tymi zagadnieniami, bo one dotyczą ważnych stron życia każdego człowieka. To nie jest zagadnienie akademickie, to jest zagadnienie, które każdemu człowiekowi się nasuwa; każdy człowiek doznaje wrażeń, przemyśliwa te wrażenia i zadaje sobie pytania, co to właściwie jest, czym są te przez niego doznawane wrażenia.

Jeżeli zastanawiamy się nad tym w tej chwili, w gmachu Akademii, to nie dlatego, żeby samo zagadnienie miało mieć charakter akademicki,

ale dlatego, że jest to świadectwem włączania się przez Akademię w nurt życia społecznego, że Akademia nie pojmuje zadania pracy naukowej jako pewnego rytuału odprawianego przez tych, których wyszydzał Baudouin de Courtenay, augurów, „kochanków Izys zasłoniętej”. W związku z nimi przypominać się powinny słowa Katona: „Mirari se aiebat Cato, cur haruspex rideret haruspicem cum vidisset” („Katon mówił, że się dziwi, dlaczego wróżbita śmieje się widząc wróżbitę”).

Odpowiednikiem postawy sokratesowskiej zaczepiania każdego przechodnia, porozumiewania się z każdym przechodniem, zadawania pytań każdemu, kto mógł je rozumieć, odpowiednikiem takiego sposobu spędzania czasu była w pewnym znaczeniu nasza dwudziestoletnia praca nad *Słownikiem języka polskiego*, którego ostatni, suplementowy tom parę miesięcy temu ukazał się w druku, a który rozmiarami swoimi przewyższa inne dotychczasowe słowniki języka polskiego. Treść tej pracy stanowiło budowanie artykułów hasłowych. Artykuł hasłowy to jest ta część słownika, która następuje po haśle, zawiera dane morfologiczne, tzn. dotyczące budowy gramatycznej wyrazu, dotyczące sposobu jego odmiany, następnie zawiera definicje, ilustracje przykładowe znaczeń sformułowanych w definicji albo w definicjach — w zależności od tego, jak się przedstawia treść znaczeniowa wyrazu.

Główne nasze zadanie polegało na tym, żeby zgromadzić słowa polskie i przemyśleć ich znaczenia. To jest zadanie olbrzymie. Wykonywaliśmy je zespołowo w tym samym Pałacu Staszica, z którym się łączy tradycyjnie wielkie nazwisko Lindego, ponieważ tutaj były dyskutowane zagadnienia związane ze *Słownikiem Lindego*, tu Linde czytał swoją recenzję nie wydanego wielkiego *Słownika Osińskiego*, nie mniejszego rozmiarami niż *Słownik Lindego*.

Praca nasza polegała na tym, że czytaliśmy teksty, z tekstów wybierane były słowa, materiał słów układał się w rubryki, wyłaniały się podobieństwa w funkcjach znaczeniowych różnych słów, nasuwały się nieustannie pytania co do tego, jak dzielić znaczenia słów, jak je ilustrować przykładami, czy życiem słów rządzą jakieś regularności, a ponad tym wszystkim — jak przekazywać czytelnikom informacje o tym, co słowa znaczą, jakimi zastępczymi słowami oddawać w definicji treść tych słów, które się definiuje, i wreszcie, w jakim celu to robić, tzn. jakiej sprawie mamy służyć wykonując tę pracę. Otóż informować o tym, co wyrazy znaczą, to transformować energię potencjalną treści znaczeniowej słów tkwiących w naszej pamięci w energię aktualną wyzwalaną przez bodźce sytuacyjne, to, mówiąc mniej teoretycznie, umożliwiać posługiwanie się słowem w celowy sposób, sprawdzianem bowiem tego, czy wiem, co słowo znaczy, jest to, jak tego słowa używam. Jeżeli w sprzeczce toczącej się w przedziale wagonu kolejowego jedna z zaciętrzewionych uczestniczek tej sprzeczki (co zdarzyło mi się słyszeć) zwraca się do drugiej, mówiąc: „Niech pani

nie robi takiego *mezaliansu*”, to takim użyciem wyrazu *mezalians* składa jaskrawy dowód tego, że nie rozumie, co to znaczy; tzn. myśli, że to znaczy «zamieszanie», chce powiedzieć: „Niech pani nie robi takiego zamieszania”, ale przez niewłaściwe użycie tego wyrazu społecznie się upośledza, przegrywa swoją grę w tej sytuacji.

Znaczenia słów wyjaśnia się po to, żeby chronić ludzi przed ich używaniem w znaczeniach niestosownych, używanie zaś wyrazów w znaczeniach niestosownych to ich używanie w nieodpowiednich sytuacjach, nie w porę, nie wtedy, gdy należy ich użyć. Istnieje pewne wspólne podłoże wykolejeń stylistycznych i myślowych. Te wykolejenia można obserwować i w języku potocznym, i w stylu naukowym. Dążenie do unikania błędów językowych sprowadza się do tych samych motywów w każdej formie operowania językiem. Na przykładzie będzie wyraźniejsze to, co w tej chwili mam na myśli. Na czym polega niewłaściwość użycia wyrazu *mezalians* przez osobę, o której wspomniałem? Jaka jest przyczyna tego błędu? Na czym polega błąd, to jest jasne; błąd polega na tym, że wyraz *mezalians* (w zasadzie przestarzały) znaczy co innego, niż ta osoba myśli, że on znaczy, bo *mezalians* to nie zamieszanie, tylko pewna forma niestosownego małżeństwa. Pomyłka co do treści znaczeniowej wyrazu pociąga za sobą jego złe użycie w pewnej sytuacji. Możemy, rozbijając rzecz na punkty, zastanowić się nad trzema pytaniami, po pierwsze: na czym polega treść pomyłki, po drugie: jaka jest podbudowa historyczna niewłaściwie użytego wyrazu i po trzecie: jakie są cechy wspólne tego rodzaju pomyłce językowej z pomyłkami językowymi, które się zdarzają w stylu naukowym.

Otóż merytoryczną przyczyną pomyłki jest to, że osoba używająca wyrazu *mezalians* w niewłaściwym znaczeniu jest pozbawiona historycznych punktów oparcia, tych podpórek, które temu wyrazowi nadają historyczny sens (tzn. to miałem na myśli, mówiąc, że dobrze jest pamiętać o punktach wyjścia takich wyrazów, jak *gnozja*, *agnostycyzm* itd., bo im bardziej nasza pamięć jest obciążona balastem rzeczowych wiadomości, tym bardziej zapewniona jest nasza równowaga w funkcjonowaniu językowym). Wyraz *mezalians* w języku polskim jest pozbawiony wszelkiej wyrazistości znaczeniowej, ale język, z którego ten wyraz jest wzięty, mianowicie język francuski, pozwala nam zrozumieć strukturę tego wyrazu i ktoś, kto by rozumiał strukturę tego wyrazu, byłby zabezpieczony przed jego złym użyciem. *Mésalliance* w języku francuskim to wyraz takiego typu, jak *mésentente* «brak porozumienia», *mésintelligence* «złe rozumienie» albo *mésestime* «brak szacunku»; wszystkie te wyrazy składają się z wyrazów używanych samodzielnie i z prefiksu *més-* (który etymologicznie jest tym samym wyrazem, co angielskie *miss* albo niemieckie *miss-* w takim wyrazie jak *Mißverständnis*). Znajomość historii wyrazu,

rozumienie jego struktury powstrzymywałyby przed jego błędnym użyciem.

Pamięć historyczna w pewnym tylko zakresie może być regulatorem w posługiwaniu się wyrazami. Nawet można powiedzieć — kiedyś mówił to Baudouin de Courtenay — że jednym z ważnych czynników postępu w życiu języka jest zapominanie o tym, co było. I z takimi przerwami w historii znaczeniowej wyrazów można się często spotkać. Ludzie dzisiaj używający pewnych wyrazów nie pamiętają tego, co te wyrazy znaczyły dawniej. Niedawno miałem takie doświadczenie z sześciolletnią dziewczynką, która, kiedy jej pokazałem mapę Norwegii i powiedziałem, że to państwo wygląda tak jak *gąsienica*, ma kształt gąsienicy, spojrzała na mnie pytająco i powiedziała: „to w aucie?”, po chwili zaś namysłu dodała: „w czołgach?”. Sześciolletnia dziewczynka urodzona w Warszawie i zamieszkała w Warszawie już nie zna innego znaczenia wyrazu *gąsienica*, jak tylko właśnie tego, tej gąsienicy w czołgach. Co się stało? Stało się właściwie to, co się stało okolicznościowo z wyrazem *mésalliance* przeniesionym z gruntu francuskiego na polski. Zmiany znaczeniowe wyrazów nie są wynikiem jakiegoś rozkręcania się spirali psychicznej, wynikiem rozwoju pojmowanego jako proces czysto psychiczny, tylko, oczywiście, są to wyniki zmian w reagowaniu na bodźce zewnętrzne i zmian, które zachodzą w otaczającym nas świecie zewnętrznym. Przyczyną błędnego użycia wyrazu *mezalians* było to, że odznacza się on nastrojem uczuciowej dezaprobaty i jednocześnie pewnej niepowszedniości stylistycznej i ten nastrój wziął górę nad właściwą treścią wyrazu.

Są pewne wspólne cechy postawy umysłowej znajdującej wyraz i w posługiwaniu się wyrazami mowy potocznej i w posługiwaniu się terminami naukowymi. Na przykład istnieje w językoznawstwie francuskim znana opozycja: *langue—parole*. *Langue* znaczy po francusku «język», *parole* znaczy zasadniczo «słowo»; w przeciwstawieniu *langue — parole langue* ma znaczyć «język w ogóle, tzw. kod językowy», *parole* jest to «každorazowy akt mowy, każdorazowe czynienie użytku z tego języka ogólnego, który człowiekowi jest właściwy». W pewnym rozumieniu tego przeciwstawienia ma ono oczywiście sens, bo co innego jest kod językowy, a co innego robienie użytku z tego kodu, tylko trzeba sobie zawsze uświadamiać to, że ten kod językowy nie istnieje inaczej, jak tylko w pamięci, w mózgowych komórkach pamięci ludzi mówiących danym językiem, nie jest bytem obiektywnym zewnętrznym w stosunku do każdej z osób mówiących. Te terminy są dość niesprecyzowane i często wywołują dyskusje, często bywają nadużywane.

Na Zjazd Międzynarodowy Słowistów, który się odbędzie w Warszawie w roku 1973, został m.in. zgłoszony taki temat: „Zagadnienie języka krytyki literackiej”. Z początku wydało mi się, że jest to temat dosyć szcze-

gólny. Są rozmaici krytycy, rozmaici krytycy piszą rozmaitymi językami; Boy pisał inaczej niżeli pisał Brzozowski, inaczej niż Matuszewski itd. Ale można się dopatrzeć po namyśle pewnej słusznej intencji w sformułowaniu takiego tytułu, mianowicie takiej, że chodzi o postawę, którą zajmuje krytyk w stosunku do rzeczy analizowanej, badanej, ocenianej. Otóż, jeżeli pewien nie żyjący już — nie wiem, jak go określić, czy krytyk literacki, czy publicysta, czy badacz historii literatury — pisze takie zdanie: „Nie wiemy, jakim *langue* dysponował Krasicki”, to to jest bardzo dziwne użycie; właściwie jest to takie użycie terminu naukowego, które przypomina nie mniej niestosowne użycie wyrazu *mezalians* w omówionej poprzednio sprzeczce kolejowej. Z takiego sformułowania można wysnuć parę wniosków: po pierwsze, że ten, kto wstawia do tekstu polskiego obcy francuski wyraz dla zaakcentowania swojej zażyłości z terminologią naukową francuską czy może ogólniej — z językiem francuskim, ten ktoś najoczywiściej nie zna języka francuskiego, bo gdyby znał język francuski, toby wiedział, że wyraz *langue* jest rodzaju nie męskiego, tylko żeńskiego i nie skojarzyłby z wyrazem *langue* wyrazu *jakim*, wyrazu w rodzaju gramatycznym męskim w języku polskim. A poza tym autor ulega takiej samej presji czysto wrażeniowej ze szkodą dla właściwej funkcji, którą ten wyraz ma pełnić. Pisze, że nie wie, jakim *langue* dysponował Krasicki. Mnie się wydaje, że można powiedzieć, że się wie — my wiemy, jakim *langue* dysponował Krasicki. Krasicki dysponował „polskim *langue*”, tzn. polskim językiem. I dlaczego, jeżeli się komunikuje czytelnikowi polskiemu informacje czy refleksje na temat języka Krasickiego, wstawia się ten wyraz wykołojony, naruszający, zakłócający harmonijny odbiór treści, którą ma ten autor nam do zakomunikowania, wprowadza się wyraz, którego efekt ma polegać właśnie na wywoływaniu pewnego wrażenia zamiast pełnienia określonej funkcji? Trzeba się ćwiczyć w tym, żeby — parafrazując Norwida — celnie dościgać pomysły słowami. W tym powinien się ćwiczyć zarówno każdy mówiący, jak każdy piszący.

Na uleganiu nastrojowi wyrazu zamiast wyraźnego uświadomienia sobie jego funkcji polega właściwie istotna epistemologiczna treść wszelkiego subiektywizmu hipostazującego pojęcia, traktującego pomysłenia jako obiektywne byty. Dobrą bronią przeciwko takim hipostazom jest stałe obcowanie ze słowami, do którego zmusza praca słownikowa. W tej zespolonej pracy nieustannie mieliśmy przed swoimi oczami płynące potoki znaczeń wyrazów, usiłowaliśmy przemyśliwać te znaczenia, szukaliśmy sposobów komentowania ich treści i przekazywania tych komentarzy czytelnikom. Zastanawiając się nad znaczeniami słów, musieliśmy wynik zastanowienia ujmować również w słowa; każdy, kto ma takie doświadczenia, intensywnie przeżywa swoją nierozzerwalną łączność ze środowiskiem i w znaczeniu biologicznym, i społecznym. Każdy uczestnik środowiska

mówi tymi samymi słowami co inni, myślenie indywidualne jest zawsze fragmentem procesu społecznego, bo narzędziami myślenia są słowa, a te są wspólne wszystkim uczestnikom danego środowiska.

Funkcja poznawcza języka to jedna z jego funkcji orientacyjnych, tzn. orientujących ku właściwemu społecznemu działaniu. Panowanie nad słowami to panowanie i nad myślą, i nad swoim działaniem, i nad stosunkami z ludźmi. Pobudki nakłaniające do pracy poznawczej są i odruchowe, bo działa odruch zaciekawienia, i teoretyczne, i praktyczno-społeczne. W tym ostatnim zakresie bardzo ważnym regulatorem jest życzliwość dla ludzi, która sprawia, że chcemy im komunikować informacje o słowach przeznaczonych do polepszania ich wiedzy w zakresie słów i w zakresie relacji słów do rzeczy. Z funkcją poznawczą języka każdy ma bezpośredni kontakt. Stanowi ona treść wewnętrznego doświadczenia każdego z nas, tzn., że może ona stanowić przedmiot uświadamiany introspekcyjnie. Stosunek „ja” do „nie-ja” jest zagadnieniem teoriopoznawczym obejmującym jak kopuła i filozofię, i językoznawstwo, i „prywatne” myślenie każdego z nas, to znaczy, każdego z nas stać na to, żeby w sposób rozsądny i opanowany kierować swoimi myślami.

Naczelnym hasłem logików w postawie do języka może być pierwsze zdanie książki profesora Tatarkiewicza „O szczęściu”, które to pierwsze zdanie brzmi: „Naczelnym wymaganiem stawianym przez naukę językowi jest, aby każdy jego wyraz miał jedno tylko znaczenie”. Otóż trzeba rozumieć, że to ma się odnosić do języka naukowego, bo gdyby się miało odnosić do języka w ogóle, to należałoby uprzednio wyjaśnić, co znaczy *wyraz*, tymczasem pojęcie *wyrazu* dotychczas nie ma wyraźnej definicji (wróć do tego w jednym z dalszych wykładów), ale to by było bardzo nieokreślone: zresztą i w terminologii naukowej wyrazy, jak poprzednio wspomniałem, są narażone na takie same wykolejenia jak formy mowy potocznej. Ustosunkowanie do słowa czy to mowy potocznej, czy to terminu naukowego jest właściwie fragmentem zachowania się człowieka, o zachowaniu się zaś człowieka decydują bardzo różnorakie czynniki. Nawet gdybyśmy rozumieli, że ta jednoznaczność wyrazu, ten postulat, żeby jednemu wyrazowi odpowiadało zawsze tylko jedno znaczenie czy też inaczej — żeby jeden wyraz miał zawsze tylko jedno znaczenie, ten postulat jest właściwie nie do zrealizowania ani w zakresie języka potocznego, ani w zakresie języka naukowego czy filozoficznego. Filozof — autor wielkiego słownika filozoficznego zatytułowanego *Słownik techniczny i krytyczny filozofii (Vocabulaire technique et critique de la philosophie)* — Lalande, pisze w tym słowniku, że wyrazy z zakresu filozofii ulegają takim samym wykolejeniom, jak wyrazy mowy potocznej, mianowicie zmieniają swoje znaczenia przez wykolejenia najrozmaitsze: przez uszczegółowienia, przez przenoszenie się z rzeczy na rzecz, przez skupianie się kolejno

dokoła różnych centrów znaczeniowych, czasem wskutek nieporozumień, pomyłek. Niestety, pisze dalej Lalande, jest nie inaczej z terminami filozoficznymi. One się często również wykolejają wskutek działania przypadkowych czynników historycznych. I zresztą, jeżeli chodzi o filozofię, to Kartezjusz pisał (warto te słowa przypomnieć), że właściwie wszystkie spory filozoficzne dotyczą tego, co znaczą wyrazy. "Si de verborum significatione — pisał Kartezjusz — inter philosophos semper conveniret, omnes fere controversiae illorum tollerentur" („Gdyby nastąpiła zgoda wśród filozofów co do znaczenia wyrazów, to wszystkie prawie ich kontrowersje ustałyby”) — dlatego, że między filozofami toczą się takie same spory na tematy znaczeń wyrazów, jakie mają miejsce w zakresie wyrazów dotyczących potocznego języka.

Właściwie wszelkie dążenie do panowania nad językiem jest dążeniem do sprawowania rządu dusz, do ogarniania całości postawy człowieka w jego ustosunkowaniu do języka. Różne mogą być sposoby sprawowania rządu dusz. Mickiewicz, jak sobie wszyscy przypominamy, chciał ten rząd sprawować uczuciem. O sobie pisał, że jest „najwyższym z czujących na ziemskim padole”, że chce „czuciem rządzić, które jest we mnie” (i to jest właśnie ów subiektywizm, o którym poprzednio wspomniałem); wierzył, że „uczucie spali, czego myśl nie złamie”, ale był jednocześnie pesymistą:

„Nieszczęsny, kto dla ludzi
Głos i język trudzi”.

— Gdyby to myślał leksykograf, tzn. ten, kto pracuje nad słownikiem, to musiałby poniechać swojej pracy, bo praca nad słownikiem to jest nie co innego, jak tylko właśnie praca dla ludzi; zresztą w ten sposób, to znaczy jako praca beznadziejna, była przez długi czas traktowana praca słownikowa. Słynna jest definicja terminu leksykograf, którą sformułował Johnson, leksykograf angielski, w roku 1655 i wydrukował w swoim słowniku, a która dosłownie brzmiała tak: „Kto to jest leksykograf? To jest biedny, nieszkodliwy wyrobnik zajmujący się badaniem pochodzenia wyrazów i wyszczególnianiem ich znaczeń”. Niewiele uznania dla pracownika słownikowego zawiera w sobie określenie *nieszkodliwy*.

Dopiero w dzisiejszych czasach następuje połączenie pracy nad słownikami z pracą nad teorią języka, dlatego właśnie prace leksykologiczne z pracami słownikowymi łączą się w sposób najbliższy; i dlatego też prace te właściwie wiążą się nie tylko jedne z drugimi, tzn. teoretyczno-leksykograficzne z praktyczno-leksykograficznymi, ale także z zagadnieniami społecznymi, z zagadnieniami dotyczącymi tego, jaki charakter ma mieć oświata i na jakich cechach natury ludzkiej powinna się ona opierać.

Leksykograf nie ma ambicji sprawowania rządu dusz; on chce rozu-

mieć, co się w języku dzieje, i myśli, jak informować o tym, co zrozumiał¹. Źródłem optymizmu leksykografa jest przeświadczenie, że warto dla ludzi głos i język trudzić. Praca nad słownikiem to praca nad tym, żeby do skłóconych nurtów życia społecznego wlewały się strumienie jasnej myśli. To jest niezmiernie rozległe zagadnienie dotyczące nie tylko języka, ale i filozofii w jej teoretycznym i — najbardziej typowym — praktycznym zastosowaniu. Jak napisał cytowany przed chwilą autor *Słownika filozoficznego*, Lalande: „rozum, *orationis et vitae societas*, powinien sprzyjać dobrym stosunkom między ludźmi”, to zn. rozum, który tkwi w łączności mowy i życia. Tutaj te funkcje — poznawcza i praktyczno-społeczna — zbiegają się w jednym punkcie.

Kiedyś byłem w Nowogrodzie nad Narwią, gdzieśmy dokonywali zapisów dialektologicznych, i chodziłem na obiady do małego sklepiku, gdzie było gorąco i gdzie było bardzo dużo much. W pewnej chwili, rozdrażniony na te muchy, powiedziałem: „Po co to istnieje, komu to potrzebne, po co to istnieje na świecie?”, a stary Kurp, chłop, który siedział w kącie, powiedział: „A my, czy potrzebni?”. Ta „filozofia” prostego człowieka często mi się przypomina. Na to jest wyraźna odpowiedź: my jesteśmy potrzebni w tym stopniu, w jakim jesteśmy potrzebni innym ludziom. I właśnie ten motyw, motyw chęci przynoszenia pożytku wpływa także ze zrozumienia tych teoretycznych kwestii, o których wspomniałem poprzednio, tzn. fakt, że się obcuje ze słowami, pracuje nad słowami danego języka, wytwarza w nas świadomość tego, że człowiek stanowi jedność bio-psycho-socjalną. Chęć bycia pożytecznym jest następstwem tego uświadomienia.

Językoznawstwo, jak wspomniałem, jest nauką nie tylko historyczno-porównawczą, ale i społeczno-pedagogiczną. Nie możemy zagadnień praktyczno-społecznych wyłączyć z zakresu teoretycznych zainteresowań językoznawstwa. Językoznawstwo bada i treść znaczeniową słów (to jest poznawczy aspekt języka), i sposoby, formy wypowiedzania tej treści, a ponieważ wypowiedzanie treści to zwracanie się do kogoś, czyli obcowanie z kimś, obcowanie zaś społeczne podlega pewnym normom, więc poznając normy zyskujemy wskazówki praktycznego postępowania. Funkcja poznawcza języka to nasza zdolność rozumienia tego, co słowa znaczą, wszelkie zaś rozumienie uruchamia ośrodki działania; można jeszcze dodać, że jest to funkcja orientacyjna — orientacja tak samo jak rozumienie — jest jednym z czynników determinujących nasze zacho-

¹ Zwrot *Daj mi rząd dusz* przypomina mi taki epizod ilustrujący m.in. to, przez jakie pryzmaty językowe mogą być ujmowane pewne treści myślowe: przed wojną był pewien Anglik, którego nazwiska zapomniałem, który przetłumaczył *Improwizację* Mickiewicza i który mi mówił, że jemu najwięcej w całej improwizacji podobały się właśnie te słowa: „Daj mi rząd dusz”. Dlaczego? Bo poczuł bliskość z autorem, który się zdobył na to, że w języku polskim, gdzie wyrazy są często wielosylabowe, ułożył zdanie składające się z czterech samych jednosylabowych wyrazów.

wanie się. Językoznawca bada właśnie zachowanie się człowieka jako istoty, której świadomość ma do swojej dyspozycji (zastrzegając się co do nieścisłości tego zwrotu) język, wyrazy i formy wyrazowe.

To zadanie łączy językoznawcę ze wszystkimi tymi, których interesuje zachowanie się człowieka, a więc z socjologami, biologami, psychologami.

Piotr Bąk

GNIEZNO W ŚWIETLE TOPOGRAFII I TOPONIMII WIELKOPOLSKIEJ

STRUKTURA SŁOWOTWÓRCZA I ZNACZENIE ETYMOLOGICZNE NAZWY GNIEZNO

Struktura słowotwórcza ¹ nazwy *Gniezno* rysuje się dość jasno. Jest to formacja przymiotnikowa utworzona od dawniejszej postaci rzeczownika *gniazdo* za pomocą sufiksu *-no*. Wyraz podstawowy (*gniazdo*) wszedł do nazwy *Gniezno* w formie starszej, zgodnej z brzmieniem prasłowiańskim i staropolskim, a więc z nie przegłoszoną samogłoską *e*, pochodzącą z prasłowiańskiego *ě* (*jat'*). Samogłoska *e* utrzymała się zresztą do dziś w miejscowniku lp. w *gnieździe* i w przymiotniku *gnieźnieński*. Wyraz *gniazdo* ma więc do dziś w odmianie dwa tematy oboczne *gniazd-//gnieźdź-*. Przed miękką grupą spółgłosek *-źdź* utrzymała się samogłoska *e*, przed spółgłoską twardą z dawnej *e* przeszło w *a*. Ten „przegłos polski” dokonał się w końcu X i na początku XI wieku ². Nazwa *Gniezno* jest przynajmniej o dwa wieki starsza, kiedy jeszcze *e* przed spółgłoskami twardymi przedniojęzykowymi nie zmieniło się w *a*. Przyrostek *-no* pochodzi z ps.*-*ono* ³, dlatego tematyczna spółgłoska *-z* była pierwotnie miękka i sprzyjała utrzymaniu się *e* w temacie nazwy *Gniezno*. Owo *e* utrzymało się do dziś, mimo że spółgłoska *-z* stwardniała na skutek asymilacji do następnego twardego *n*. Utrzymaniu *e* sprzyjały różne czynniki, a przede wszystkim ustalenie się nazwy *Gniezno* w mowie i piśmie oraz występowanie tematu obocznego miękkiego w męskiej formie *gnieździeń*, w miejscowniku *gnieździe* i przymiotniku *gnieźnieński//gnieździeński*. Należy dodać, że nazw miejscowych używa się najczęściej w dopełniaczu i miejscowniku.

W nazwie *Gniezno* zanikła tematyczna spółgłoska *d*. Zanik spółgłosek *d*, *t* w grupie *stn*, *zdn* obserwujemy w języku polskim często. Wyrazy *miłosny*, *późny*, *radosny*, *sprośny*, *żałosny* powstały ze starszych *miłostny*, *pozdny*, *radostny*, *żałostny* ⁴. W gwarach podobne zjawisko dokonało się w wyrazach *isny*, *posny*, *pojazny*, *zawisny*. Nic więc dziwnego, że starsza forma nazwy *Gniezdno* uprościła się, dając w efekcie *Gniezno*.

¹ Por. W. Doroszewski: „Podstawy gramatyki polskiej”, PWN, Warszawa 1952; s. 268.

² Por. Zenon Klemensiewicz, Tadeusz Lehr-Splawiński, Stanisław Urbańczyk: „Gramatyka historyczna języka polskiego”, PWN, Warszawa 1964; s. 81—82.

³ Tamże, s. 228—9—30.

⁴ Tamże, s. 155.

Wyjaśnienia wymagają różne odmiany nazwy *Gniezna* w dawnych zapisach polskich i obcojęzycznych. Nazwa ta występuje w Bulli Gnieźnieńskiej z 1136 roku w dwu rodzajach *Gnezden* i *Gnezdno*, tj. *Gnieździeń* i *Gniezno*⁵. Fakt ten nie powinien nikogo dziwić, jeżeli do dziś spotyka się w Wielkopolsce i na Kujawach wiele miejscowości, które mają po dwie, a nawet po trzy nazwy oboczne (*Anielew//Anielewo*, *Uniejów//Uniejew//Uniejewo*).

W zapisach łacińskich, arabskich i niemieckich zdarzają się ponadto zapisy z zakończeniem *-a*, *-e* lub *-i*: *Gnesna*, *Gnesne*, *Gnezni*⁶. Trudno uwierzyć, aby tyle postaci obocznych miała nazwa *Gniezno* w tamtym czasie. Zapisy nazwy *Gniezno* z zakończeniem *-a* lub *-e* są prawdopodobnie formami przypadków najczęściej używanych w zdaniach na temat miasta, tj. dopełniacza *do*, *z* — *Gniezna* oraz miejscownika *w Gnieźnie*. Pisarze łaciniści mogli także nazwę zlatynizowaną odmieniać z końcówkami łacińskimi. Podobne nieporozumienia zdarzają się i obecnie i to nawet językoznawcom obcych narodowości, piszącym o języku polskim⁷.

Przykładem odmiennego i fałszywego rozumienia form różnych przypadków może być również zapis nazwy *Ląd* jako *Landa* w Bulli Gnieźnieńskiej⁸.

Błędne rozumienie wyrażenń zdarza się i Polakom. Na Kujawach i w okolicy Kramaska zamiast *Inowrocław* mówi się *Winowrocław*, a zam. *alkierz* — *walkierz* pod wpływem miejscowników *w Inowrocławiu* i *w alkierzu*. Stąd nowe miejscowniki *we Winowrocławiu*⁹ i *we walkierzu*. Podobnie Niemcy, mieszkający w okolicy Kramaska, utworzyli formę *Skramsk* pod wpływem dopełniacza *z Kramaska*. Stąd dalsze formy *ze Skramska*, *w Skramsku*, przez Polaków wyśmiewane.

To, co się wyżej powiedziało, nie wyłącza możliwości istnienia i żeńskiej formy nazwy miasta. Mogła to być pierwotnie „gniezdna góra”, bo *Gniezno* zostało założone na górze Lecha. Oczywiście „góra Lecha” jest nazwą późną nadaną dla upamiętnienia legendy opowiedzianej przez Galla.

Znaczenie etymologiczne nazwy *Gniezno* jest równie przejrzyste jak i jego struktura słowotwórcza. Formacja pierwotna *gniezdno* była przymiotnikiem „ośrodkowym”¹⁰ rodzaju nijakiego. Przymiotniki odrzeczownikowe z przyrostkiem *-ny*, *-na*, *-ne* (a dawniejszym *-n*, *-na*, *-no*) ozna-

⁵ Por. Zdzisław Stieber: „Rozwój fonologiczny języka polskiego”, PWN, Warszawa 1962; s. 13.

⁶ Stanisław Rospond: *Ze studiów nad polską toponomastyką*. X — *Gniezno*. „Język Polski” XLI, s. 334 i n.

⁷ Por. recenzje J. Reczka w „Języku Polskim” XLVII, s. 149.

⁸ Zdzisław Stieber: „Rozwój fonologiczny języka polskiego”, s. 19.

⁹ Zenon Sobierajski: „Gwary kujawskie”. Poznań 1952; s. 55.

¹⁰ Henryk Gaertner: „Gramatyka współczesnego języka polskiego”. Lwów—Warszawa 1938; s. 362.

czają m.in., że w danym ośrodku istnieje rzecz wymieniona w podstawie słowotwórczej. Tak więc *okolica leśna* to «taka, w której są lasy», *miasto ludne* «w którym jest dużo ludzi». Zatem *okolica* lub *góra gniezdna*, *las gniezdny* (pierwotnie *gnieździeń!*), *miejsce gniezdne* (pierw. *gniezdno!*) oznaczały, że w tym miejscu było dużo gniazd i że te gniazda były najbardziej charakterystyczną cechą tak określanego terenu.

Nazwa *Gniez(d)no* ma więc charakter topograficzny, podobnie jak *Ośno*, *Rogoźno*, *Sąpolno*.

2. POCHODZENIE NAZWY GНИЕZNO

Wyjaśnienie etymologii i znaczenia nazwy *Gniezno* nie jest żadnym nowym odkryciem. Na ogół pod tym względem językoznawcy są jednomyślni¹¹. Tak też rozumieli tę nazwę Polacy od tysiąca lat, jak świadczy Kronika Galla. W tym wypadku etymologia ludowa zgadza się z naukową. Takie oczywiste wyjaśnienie nazwy nie wszystkim jednak wystarcza. Kraszewski w „Starej baśni” wywodzi nazwę *Gniezna* z *Kneźna*¹² od rzekomego *knezia*, czyli «księcia Polan», który tam miał swoją stolicę. Tymczasem *knez* to wyraz czeski, któremu w tamtym czasie odpowiadał prapolski **kniądz lub ksiądz*¹³, a stolice książęce w Polsce nazywały się *Książ* (jak *Kazimierz*) lub *Książno* i takie nazwy miejscowe w Polsce rzeczywiście istnieją. Nie mniej fantastycznie przedstawia się wywód współczesnego uczonego, który nazwę *Gniezna* wywodzi od mechanicznego połączenia pierwiastków wziętych z różnych rdzeni i partykuł, czyli od *Kъ -ně-zdo*¹⁴, które w tym połączeniu nic nie znaczą i chyba nigdy nie istniały. Nic dziwnego, że tego rodzaju etymologizowanie spotkało się z bardzo surową repliką prof. S. Rosponda¹⁵.

Tego rodzaju etymologizowanie przypomina słynną etymologię imienia biblijnego władcy Asyrii. Jego imię *Nabuchodonozor*, czyli poprawniej *Nebukadnessar*, wyłożył Mickiewicz jako ruskie wyrażenie *ne boh odno car* «nie Bóg jeno car», czyli «nie ma Boga nad cara!».

Prof. Rospond znów w swoich wywodach etymologicznych (językoznawczo zawsze poprawnych!) posuwa się zbyt daleko. Nie wystarcza mu wyprowadzenie nazwy *Gniezna* od *gniazda*. W swoich rozważaniach idzie dalej i stara się dociec etymologii rzeczownika *gniazdo*, który w swoim rdzeniu **gně* — łączy się z prasłowiańskimi rdzeniami **gnoi-*, **gni-ją*, **gni-da* i **gnet-ti* \geq *gnes-ti*¹⁶, *ugně-tati* itd. Wyraz *gniazdo* można dalej

¹¹ Por. „Gram. historyczna”, oc., s. 155.

¹² Józef Ignacy Kraszewski: „Stara baśń”. Czytelnik 1945; s. 463

¹³ Aleksander Brückner: *Słownik etymologiczny języka polskiego*. Kraków s. 277.

¹⁴ Zdzisław Kempf: *Podarek dla Gniezna na Millennium*. „Poradnik Językowy” 1966 nr 8; s. 339.

¹⁵ Stanisław Rospond: *Toponimia czy kaliologia i ornitologia*. „Por. Jęz.” 1967, z. 4, s. 183 i n.

wywodzić z praindoeuropejskich rdzeni w rodzaju **ghnei-* czy **ghneidh-* i prof. Rospond w swoich artykułach to czyni. Bierze również pod uwagę to, co piszą o pochodzeniu wyrazu *gniazdo* Brückner i Sławski, którzy wywodzą *gniazdo* od dwu praindoeuropejskich rdzeni **ni-* (por. *niski*) i **sdo-* (por. «siedzę»), z nagłosowym *g* — o niejasnej etymologii¹⁷.

Do tych wszystkich etymologii wielkich i największych językoznawców dodałbym jeszcze etymologię ludu Kujaw Borowych, który podobnie jak Nehring wywodzi *gniazdo* od czasownika *gnieść*; *gniazdo* to m.in. «miejsce ugniecione, we wszelkiego rodzaju ściółce lub w zbożu, niezależnie od tego, czy w miejscu ugniecionym leżał człowiek, zwierzę, czy też zboże samo się poleгло».

Z tego wynika, że etymologia wyrazu *gniazdo* pozostanie w sferze mniej lub bardziej prawdopodobnych hipotez, których zwolennicy będą toczyć boje o przyznanie im największej słuszności.

Tu należy postawić zasadnicze pytanie, czy wyjaśnienie etymologii wyrazu *gniazdo* jest równocześnie wyjaśnieniem etymologii i pochodzenia pozajęzykowego nazwy *Gniezno*. Na pewno nie. Niezależnie od tego, czy wyraz *gniazdo* wywodzi się od *gnoi-*, czy od *gnieść*, czy od *niski*, nazwa *Gniezno* nie pochodzi od żadnego z nich, lecz jedynie i wyłącznie od rzeczownika *gniazdo*. Tę prawdę trzeba jak najmocniej podkreślić, bo to jest prawda oczywista. Wyprowadzanie bezpośrednio wyrazu *Gniezno* od hipotetycznych przodków prasłowiańskich i praindoeuropejskich rzeczownika *gniazdo* nie tylko nie wyjaśnia tej nazwy, ale ją zaciemnia, jest metodologicznie błędne i całe rozumowanie sprowadza na bezdroża. Nie można, a nawet ze względów logicznych nie wolno wyprowadzać nazwy miasta jednocześnie od „gniazda” i od „miskowatego zagłębienia terenu”, i od „gnoju”, i od „gnicia”, i od „gnidy” i od czegoś tam jeszcze. Nie wolno jednocześnie wyprowadzać nazwy polskiej od podstawy polskiej, prapolskiej, prasłowiańskiej i praindoeuropejskiej, bo wtedy musielibyśmy dojść do paradoksalnego wniosku, że polska nazwa *Gniezno* powstała albo razem z prasłowiańskim wyrazem **gnězdo* jako dziecię bliźnie tego samego praindoeuropejskiego *gnoju* (!) czy produkt „procesu gnilnego”, albo jeszcze wcześniej niż prasłowiańskie wyrazy *gnój* czy *gnicie*. Na taki wniosek nie zgodzi się chyba nikt.

Tymczasem w wywodach prof. S. Rosponda tak jest. Tak też czytają i rozumieją te wywody inni. W piśmie „Poznaj Świat” nr 5 z maja 1966 roku, w artykule Romana Biesiady pt. *Ziemia i ludzie* na str. V/3 czytamy: „Nowe badania językoznawców zubożyły nas nieco, porzucając wywód nazwy *Gniezno* od Lechowego gniazda orlego, wiążąc ją za to

¹⁶ Stanisław Rospond: *X. Gniezno, oc. i Toponimia czy kaliologia o.c.*, s. 186.

¹⁷ Aleksander Brückner: *Słownik etymologiczny (...)*, s. 146. Franciszek Sławski: *Słownik etymologiczny języka polskiego*. Kraków 1952—1956, s. 302.

znaczeniowo z terenem, z owym istniejącym rzeczywiście w głębie-
niem, miskowatym, okrągłym o podłożu gnilnym”
(podkreślenie moje — P.B.). Oto przykład, jak można w sposób naukowy
zagmatwać jasną i oczywistą sprawę.

Wyjaśnienie etymologii i znaczenia etymologicznego nazwy *Gniezno*,
nie jest jednocześnie odpowiedzią na pytanie, dlaczego to miasto
zostało nazwane *Giez(d)nem*, tj. «miejszem cechującym się obec-
nością gniazd, miejscem „gniazdowym”».

Możliwości wyjaśnienia genezy nazwy naszej pierwszej stolicy są
wielorakie. Gall w swej kronice opowiada legendę, w której tak tę sprawę
przedstawia. Oto Lech, władca Polan, znalazł w tym miejscu gniazdo orła
białego i postanowił tu założyć swoją stolicę, a orła uczynił godłem swoim
i swego narodu. W legendzie tej jest ziarno prawdy, to mianowicie, że
nazwa *Gniezno* wywodzi się istotnie od *gniazda*.

Najczęściej mówi się i pisze, że nazwa *Gniez(d)no* miała znaczenie
przenośne, że tu narodzili się pierwsi Piastowie, tu była ich kolebka
czyli „gniazdo”. Nie jest rzeczą niemożliwą nazwać obronną osadę gniaz-
dem, ale nazwa *Gniezno* jest dawnym przymiotnikiem
i miasto nigdy, przynajmniej jak wynika z dokumentów, *Gniazdem*
się nie nazywało.

Nie jest również niemożliwa mało prawdopodobna hipoteza, że wyraz
Gniez(d)no był przymiotnikiem dzierżawczym, utworzonym
od imienia właściciela, który mógł się nazywać *Gniazdo*. Wszak i dziś
istnieją *Gniazdowscy*¹⁸, a przymiotnik z przyr. *-ny* ma również i miał¹⁹
znaczenie dzierżawcze, jak świadczą urzeczownikowione przymiotniki
wujna, *stryjna* i przymiotniki *cioteczny*, *stryjeczny*, tj. «należący do
ciotki, do stryja».

W wypadku *Gniezna* można być jednak pewnym, że jego nazwa ma
charakter topograficzny i ustaliła się jako nazwa terenu, zanim na nim
osiedlili się ludzie. Było to więc najpierw „gniezdno miejsce”, „gniezdny
las”, „gniezdna góra” lub coś w tym rodzaju. Później dopiero na „gniez-
dnym miejscu” powstał *Gnieździeń Gród*, *Gniezdne Siodło* czy *Gniezdna
Posada*, a jak świadczą wykopaliska, powstały z czasem te wszystkie rze-
czy, tj. gród obronny i coraz bardziej rozbudowujące się z latami pod-
grodzie²⁰. Stąd też były możliwe różne nazwy dla różnych części osiedla.

Wyprowadzenie nazwy *Gniezno* od „miskowatego zagłębienia”²¹ po-
dobnego do gniazda”, w którym miasto zostało założone, jest mało prawdo-
podobne z wielu względów. Byłaby to nazwa przenośna, co jeszcze bar-

¹⁸ Por. *Spis telefonów 1966/67 województwa łódzkiego*, s. 88.

¹⁹ H. Gaertner: *oc.*, s. 362. Z. Klemensiewicz, T. Lehr-Splawiński, S. Urbańczyk:
„Gram. historyczna”, *o.c.*, s. 228.

²⁰ Por. M. A. Szypowscy: *Gniezno*, „Sport i Turystyka”. Warszawa 1967, s. 1—2
rys. 2 i 3.

²¹ Por. S. Rospond: *Gniezno*, *o.c.*, s. 432.

dziej jest nieprawdopodobne niż porównywanie gniazda do osiedla obronnego lub kolebki ludzkiego rodu. Gniazdo jest zawsze rzeczą małą, a dolina gnieźnińska jest tak olbrzymia, że widać ją tylko na mapie. Oczywiście, że w otoczeniu Gniezna były jeziora, a może już wtedy otaczały je tu i ówdzie bagna, ale osady bagienne nazywały się *Bagno*, *Błota*, *Doly*, *Dolki*, *Łęczyca*, *Kalisz* — nie zaś *Gniezno*.

Najważniejszym jednak poza językowym argumentem, przemawiającym przeciw koncepcji „gnilnego miejsca” jest właśnie topografia starego miasta Gniezna w otoczeniu Katedry, gdzie był i pierwotny gród. Jak świadczą wykopaliska, gród ten został zbudowany na w z g ó r z u *L e c h a*, otoczonym przez cztery jeziora: Jelonek, Bielidło, Winiarskie i Święte, które czyniły to wzgórze idealnym miejscem na warowną osadę²². Taka topografia, takie ukształtowanie terenu zajętego pod budowę, powinna nadać Gnieznu nazwę *Górno*, *Wysokie* lub *Wyszyna*, jak nazywają się podobnie położone miejscowości w Wielkopolsce.

Odkopane niedawno potężne umocnienia drewniano-ziemne, o dwudziestometrowej szerokości podstawy²³, świadczą o obronności tego grodu. Było to istotnie „obronne gniazdo”, ale na pewno inna była geneza jego nazwy.

Gniazda, od których miasto wzięło swoją nazwę, musiały być wielkie, liczne i trwałe. Niemożliwą jest rzeczą, aby od jednego gniazda, choćby to było nawet gniazdo orla, cała okolica została nazwana „gniazdowym miejscem” czy „gniazdową górą”. Musiały tu być trwałe kolonie gniezdne dużych ptaków, liczące setki i tysiące wielkich gniazd, rzucających się w oczy z daleka.

Ptakami, żyjącymi w wielkich koloniach nad wodami, są w naszym klimacie różne odmiany mew, czapli i kormoranów. Z tych ptaków mewy gnieżdżą się na trzęsawiskach trudno dostępnych, a gniazda ich są zupełnie niewidoczne, ukryte w trawach i szuwarach²⁴.

Kolonie kormoranów okazałe i charakterystyczne znajdują się dziś przeważnie na brzegach zalewów morskich, np. w okolicach Elbląga i na Pojezierzu Mazurskim. Lud wielkopolski nie zna ani tych ptaków, ani ich nazwy, co wcale nie świadczy o tym, że nie znał ich w zamierzchłej przeszłości i nie miał dla nich osobnej nazwy. Jak wiadomo, nazwa *kormoran* jest przekształconą nazwą łacińską *corvus marinus* «kruk morski». Na Kujawach istnieje nazwa *morska gapa* na oznaczenie różnych odmian mew. Być może, że kiedyś istniała tu również nazwa *morski kruk* dla kormorana.

Najbardziej imponujące kolonie gniezdne budują czaple siwe. Kto choć raz widział taką kolonię, nigdy nie zapomni wrażenia, jakie wywo-

²² Por. R. Biesiada: *Ziemia i ludzie*. „Poznaj Świat 1966 nr 5.

²³ M. A. Szypowscy 1. c.

²⁴ Por. A. Brehm: „Życie zwierząt” — *Ptaki*, PWN 1962, s. 205.

łuże to niezwykle zjawisko przyrody. „Kolonie czapli siwych jest bardzo ciekawym i wręcz imponującym zjawiskiem przyrody — pisze polski ornitolog Jan Sokołowski²⁵. — Z daleka rozlegają się chrapliwe krzyki, a sylwetki latających ptaków rysują się na tle wiosennego nieba. Prawie na każdym drzewie czerni się kilka gniazd, na których wysiadują stare ptaki lub stoją pisklęta”.

Taką kolonię czapli można oglądać w leśnictwie Długi Bród koło Gościeszyna, położonego 14 km na północ od Gniezna. Jest to okolica lesista i bezludna. Na brzegu jeziora Sikula, wznoszącym się do 15 m. nad lustrem wody, na sosnach, liczących ponad 150 lat, znajduje się aktualnie około 130 gniazd czaplich. Liczba ptaków w porze lęgowej, tj. od końca marca do końca kwietnia, wynosi 600—700 sztuk. Okolice Długiego Brodu obfitują w jeziora. Poza Sikulą są tam jeziora Piotrowo, Ławiczno, Bozacin, Głębocek i Lubcz oraz mniejsze jeziorka zwane Kacze Doły²⁶. Mają więc czaple liczne i obfite żerowiska. W woj. poznańskim znajduje się 16 takich „gniezdnych miejsc” (Sokołowski). W tym kolonia w Długim Brodzie należy do okazalszych. Teren kolonii liczący 8,5 ha został ogrodzony jako rezerwat przyrody i oddany pod opiekę Instytutu Przyrodniczego w Bydgoszczy i w Toruniu. Jest rzeczą prawdopodobną, że na miejscu dzisiejszego Gniezna przed wiekami istniała podobna, lecz jeszcze większa kolonia gniazd czapli lub kormoranów, ponieważ topografia Góry Lecha jest niemal identyczna jak kolonii czaplej w Długim Brodzie. Tylko pagórek „gniezdzieński” jest nieco wyższy, a pierścień jezior — bardziej zamknięty. Nic też dziwnego, że człowiek przed dwunastoma wiekami wyparł ptaki z ich odwiecznej siedziby i założył tam „gród gniezdny” — *civitas Gnezdun*²⁷.

Czaple, podobnie jak i bociany, należą do ptaków czczonych przez lud. Do dziś lud na Kujawach wróży z lotu czapli, czy będzie deszcz czy pogoda. Na deszcz mianowicie czapla leci od jeziora, a na pogodę do jeziora powraca. To może tłumaczyć fakt, dlaczego wyjątkowo zajęto „miejsca gniezdne” na osadę. Zdecydowało o tym wyjątkowe położenie tego miejsca.

Lud w okolicy Gniezna nazywa kolonię czapłą — *czapliskiem*. Nasuwa się pytanie, dlaczego Gniezno nie nazywa się *Czaplisko*, *Czaplina*, *Czaplino* lub po prostu *Czaple*. Nazwy takie są liczne na północnych ziemiach polskich i jedne z nich pochodzą od nazwy ptaków, a inne od nazwy rodów i przydomków, nadawanych mieszkańcom całych osiedli²⁸. Fakt

²⁵ Jan Sokołowski; „Ptaki ziem polskich”, PWN Warszawa 1958, t. II, s. 202 i n.

²⁶ Dane liczbowe zawdzięczam p. Franciszkowi Nawrotowi, leśniczemu w Długim Brodzie oraz p. Wiktorowi Smarujowi z Gościeszyna.

²⁷ R. Kiersnowski: *Teksty pisane na polskich monetach średniowiecznych*. „Wiadom. Numizmatyczne”, III. 1959, s. 20.

²⁸ Ludwik Gomolec „Wielkopolskie grupy regionalne i lokalne nazwy ludności wiejskiej”. Poznań 1964, s. 25.

ten wyjaśniają do pewnego stopnia obyczaje czapli. Czaple są ptakami przelotnymi. W kolonii mieszkają tylko tyle czasu, ile trzeba na wysiedzenie jaj i wychowanie piskląt, tj. równe trzy miesiące. Później rozlatują się po całym kraju dla poszukiwania odpowiednich żerowisk²⁹. Tak więc przez dziewięć miesięcy gniazda pozostają częściowo lub całkowicie puste. Jeżeli zaś gniazda znajdują się na drzewach liściastych, najbardziej są widoczne po opadnięciu liści, więc w jesieni i w zimie. Choć więc ptaków nie ma, gniazda pozostają jako charakterystyczny i znamieny element krajobrazu.

Legenda upięszyła może bardziej prozaiczny początek nazwy pierwszej stolicy. Powstała jednak ona dopiero wtedy, gdy Orzeł Biały stał się herbem rodu Piastów, stołecznego miasta Gniezna i całego Królestwa Polskiego.

²⁹ J. Sokołowski: o.c., s. 208.

TYPY BŁĘDÓW LEKSYKALNYCH

I. O NIECELOWYCH UŻYCIACH WYRAZÓW

Bardzo istotny element poradnictwa językowego stanowią wskazówki normatywne dotyczące właściwego doboru wyrazów i ich zespalania w większe jednostki leksykalne. Informacje tego rodzaju mają charakter nieco inny niż zasady poprawnościowe odnoszące się do kwestii gramatycznych. Ich celem bowiem jest nie tyle przekazanie użytkownikom języka pewnej sumy gotowych reguł, co raczej wzbogacenie ich wiadomości o słownictwie współczesnej polszczyzny i jego tendencjach rozwojowych, wyrobienie pewnej „wrażliwości leksykalnej” i umiejętności samodzielnego rozstrzygnięcia kwestii wątpliwych. Mówiący więc zyskują dzięki nim pewną wiedzę ogólną, teoretyczną, która jest im pomocna w konkretnych sytuacjach językowych. Ze względu na taki właśnie charakter poradnictwa leksykalnego szczególną rolę w jego zakresie odgrywają — mało niestety uprawiane — teoretyczne studia nad istotą normy słownikowej i mechanizmem jej zmienności, źródłami innowacji i błędów wyrazowych oraz częstotliwością poszczególnych ich typów, następstwami ich ekspansji itp. Artykuł ten jest poświęcony jednej z przykładowo tu wymienionych kwestii, mianowicie klasyfikacji i analizie zasadniczych rodzajów błędów leksykalnych.

Na wstępie należałoby ustalić kryteria, na których podstawie można pewne użycia wyrazów zakwalifikować jako wykolejenia. Jak się wydaje, ocena tego rodzaju sprowadza się do zastosowania dwu sprawdzianów: stwierdza się mianowicie po pierwsze, czy wprowadzenie określonego wyrazu do tekstu jest celowe, funkcjonalnie uzasadnione, po drugie zaś ustala się, czy nie sprzeciwia się ono społecznej tradycji, czy nie narusza ustabilizowanej treści i typowego zasięgu danego elementu, a zatem — czy nie przełamuje jakichś ograniczeń, narzucanych jego użyciu przez system i usus leksykalny współczesnej polszczyzny. Spróbujmy zatem podzielić przykłady niefortunnych zastosowań wyrazów w zależności od tego, czy sprzeciwiają się one zasadzie celowości funkcjonalnej, czy też pozostają w kolizji z kryterium, które można by było nazwać umownie „systemowym” (czy ściślej: „uzualno-systemowym”).

Stosowanie pierwszego sprawdzianu jest raczej sprawą prostą: przy-

datne funkcjonalnie są te elementy, które wzmagają komunikatywną sprawność tekstu, za wykolejenia trzeba uznać te, które utrudniają, opóźniają odbiór zawartej w nim treści. Z punktu widzenia kryterium funkcjonalnego za błąd słownikowy wypadnie np. uznać:

- 1) operowanie słownictwem mało zrozumiałym lub w ogóle nie znanym odbiorcy tekstu: regionalizmami, rzadko stosowanymi zapożyczeniami, profesjonalizmami itp.;
- 2) nie dość precyzyjne użycie słów wieloznacznych;
- 3) stosowanie wyrazów rodzimych w znaczeniach przejętych z języków obcych, czyli posługiwanie się kalkami semantycznymi (jest to jednocześnie błąd z punktu widzenia kryterium systemowego);
- 4) nadużywanie elementów szablonowych i wyrazów modnych;
- 5) dobór środków słownych zbyt rozbudowanych lub zbyt skrótowych w stosunku do treści, którą mają wyrazić;
- 6) użycie słów zbyt ogólnych lub zbyt szczegółowych w stosunku do potrzeb komunikatywnych tekstu. Warto zilustrować przykładami wyliczone przed chwilą typy wykolejeń.

Najrzadziej może zdarza się sytuacja, w której czynnikiem komplikującym porozumienie staje się użycie regionalizmu. Swoiste bowiem właściwości słownikowe terytorialnych odmian polszczyzny nie są zbyt liczne, a poza tym na ogół bywają znane mieszkańcom innych części kraju (por. południowopolskie *borówki* czy poznański *sklep*). Dlatego też niezrozumiałe lub mylące bywają nie tyle regionalizmy tradycyjne, co wyrazy nowsze o ograniczonym zasięgu regionalnym. Czytelnika warszawskiego wprawi np. w zakłopotanie nazwa *weka*, użyta w jednej z gazet krakowskich na oznaczenie jakiegoś gatunku pieczywa („Można fatalnie zadławić się spinaczem w chlebie. A taki właśnie znalazł się w *w e c e* produkcji Piekarni nr 1”. DzP 44/61,6), bo zna on tylko wyraz *wek* «słoik służący do konserwowania produktów spożywczych». Z kolei rozbawienie może wywołać wiadomość, że „w Neptunie będzie można otrzymać stale tanie dania barowe, np. grochówkę z *w k ł a d k ą*” (GłK 238/61,5), ponieważ słowo *wkładka* kojarzy się ogółowi użytkowników polszczyzny z kontekstami *wkładka ortopedyczna* lub *wkładka paszportowa*.

Częściej wywołują nieporozumienia wyrazy zapożyczone. Ich nadużycie spotyka się zwykle z reakcją raczej emocjonalną, z odruchem niechęci wobec wtrętów obcych. Racjonalniejsze jest jednak wartościowanie pożyczek słownikowych właśnie na podstawie kryterium funkcjonalnego, które pozwala sprawdzić ich przydatność w tekście, oddzielić słowa obce czysto snobistyczne, „dekoracyjne”, od wyrazów sygnalizujących istotnie jakąś treść swoistą. Słowo *nominalny* jest całkowicie uzasadnione w związkach *cena nominalna*, *wartość nominalna*, natomiast przejawem pewnej maniery językowej będzie jego użycie w artykule sportowym: „Większość napastników opuściła swe *n o m i n a l n e* pozycje”. PS 103/61,3. Nie wy-

wołuje zastrzeżeń normatywnych związek *zaangażowanie osobiste*, bo wyraża treść, której nie przekazują dokładnie inne słowa (np. *oddanie, poświęcenie, zapal do czego*). Natomiast trudno się dopatrzeć celu jego zastosowania w następującym fragmencie tekstu: „Oszczędności osiągnęły blisko 50% wartości metalu zaangażowanego w konstrukcji traktorów”. TM 238/61,1. Z czystym sumieniem można zdyskwalifikować takie oto snobistyczne użycie wyrazów *problematyka* i *cyrkulacja*: „Z problematyki podziału bochenka” (tytuł; GrR 147/61,5); „[Mamy] na względzie potrzebę cyrkulacji inicjatywy ludności” DZ 240/61,4.

Analogiczne uwagi można sformułować w związku z przykładami użycia wyrazów zbyt specjalnych, znanych tylko w kręgu ludzi tego samego zawodu lub zbliżonych zainteresowań. Czytelnik prasy, który nie jest przysięgłym kibicem sportowym, raczej opacznie zrozumie następujący profesjonalizm: „Boksujący w podobny sposób Knut rozbił młodego Hamade”. Sport. 35/61,2.

Z pewnością nie ułatwi odbioru tekstu użycie w nim w znaczeniach profesjonalnych takich wyrazów potocznych, jak: *pędzić, postęp, serwis, nachylenie*: „Zespół upędził (...) 158 mb. przekopu, obecnie uzyskuje średnio miesięcznie 69 mb. postępu”. TR 284/61,1. „Serwis statkowy uzupełniany jest dwiema obcymi jednostkami”. GłW 33/61,3. „[Jest to] ślusarz (o nachyleniu precyzyjnym)”. EW 105/61,5.

W każdym z tych kontekstów odbiorcy narzuca się przede wszystkim znaczenie ogólnonarodowe składających się nań wyrazów (np. *nachylenie* «skłon, zgięcie») i dopiero po namyśle, w drodze wniosku pośredniego, odtwarza on ich znaczenie terminologiczne (*nachylenie* «specjalność, kierunek specjalizacji»). Obserwację tę można uogólnić i stwierdzić, że takie niebezpieczeństwo „podsunięcia” odbiorcy innej treści zawsze kryją w sobie konteksty, w których nie dość precyzyjnie użyto wyrazów wieloznacznych. Owa zaś precyzja zastosowania powinna polegać na takim doborze słów otaczających element wieloznaczny, aby determinowały one wyłącznie jedną jego treść. Tego warunku nie spełniają następujące konteksty:

„Zaplanowano skupić w tej gromadzie 50 ton zboża”. Chł. Dr. 94/61,1 (z tekstu nie wynika wyraźnie, która z dwu homonimicznych form *skupić* — związana ze *skupiać* czy ze *skupować* — została w nim użyta).

„Bicie kilkutygodniowych cieląt jest karygodnym marnotrawstwem”. Chł. Dr. 99/61,1. Nawiasem mówiąc, autor w ogóle niepotrzebnie się posłużył dwuznacznym słowem *bicie* zamiast wyspecjalizowanego, jednoznacznego rzeczownika *ubój*.

„Puławski PSS nie ma pieniędzy, choć ma ochotę pójść na taką imprezę”. KL 80/61,2 («zdecydować się», a nie «wybrać się»).

„Pomorzanin (...) i Polonia będą walczyć o spadek”. TR 282/61,4 (chodzi oczywiście o *spadek do niższej grupy*, a nie o «dziedzictwo»).

W sposób niemal nieuchronny powodują powstanie nieporozumień kalki semantyczne, tj. wyrazy użyte w znaczeniu dla polszczyzny nietypowym, właściwym natomiast ich odpowiednikom w jakimś języku obcym. W jednym z pism rolniczych znalazło się zdanie: „Jesienią należy o b o w i ą z k o w o wykonać orkę żniwną”. Chł. Dr. 96/61,10. Odbiorca tekstu skłonny jest rozumieć przysłówek *obowiązkowo* inaczej, niż to planował twórca wypowiedzi: nie w znaczeniu «koniecznie» (co jest refleksem wpływu rosyjskiego wyrazu *objazatel'no*), lecz — zgodnie z tradycją polską — w znaczeniu «przymusowo, pod wpływem narzuconego obowiązku».

I jeszcze jeden przykład: „Uczestnicy ankiety wypowiadają się za bardziej wnikliwym rozpatrywaniem spraw przy przyswajaniu tytułu «kolektywu pracy komunistycznej». Szt. Mł. 238/61,4. Tylko czytelnik znający język rosyjski domyśli się, że jest to przykład rażącej kalki semantycznej (por. *privoit' zvanie*), a nie typowe użycie tego czasownika w znaczeniu «przejmować», «zapożyczać».

Przyczyną dwuznaczności elementów wypowiedzi może też być jej nadmierna skrótowość. W tytule: *Trampolina łupem CSRS*, (PS 131/61,4) niełatwo się domyślić treści: «Zawodnicy drużyny czechosłowackiej odnieśli zwycięstwo w skokach z trampoliny».

Nie dość przejrzysta i dlatego zabawnie dwuznaczna jest także treść następującego fragmentu: „Wszyscy głęboko w sercu nosimy pamięć o naszym nauczycielu. On pierwszy prowadził naszą niewprawną rękę, budził w nas ciekawość świata”. Chł. Dr. 93/61,5 («prowadził po papierze naszą niewprawną rękę»).

Pochopny byłby jednak wniosek, że każda wypowiedź rozbudowana ma większą wartość funkcjonalną, niż sformułowanie skrótowe. Duża liczba słów nie zawsze wzmaga precyzję wypowiedzi, czasem stanowi „nadmiar leksykalny” nie związany z potrzebami komunikatywnymi tekstu. Tak na przykład można ocenić wielowyrazowe omówienia, czyli peryfrazy, których treść daje się znakomicie zawrzeć w jednym słowie. Operowanie nimi wynika zwykle z dążenia do „elegancji” wypowiedzi, z upodobania do środków słownych niecodziennych i wyszukanych. Pewien dziennikarz sportowy pisze: „Jarek posłał przedmiot meczowej walki ponad poprzeczkę”. PS 105/61,3 (chodzi o piłkę). Bardzo codzienne wiadomości o zakładaniu oświetlenia ulicznego i o zbiorce makulatury ujmują się w taką oto wykwinętą formę: „Rozpraszczenie mroków otwockich ulic będzie kontynuowane” (TM 290/61,4); „Młodzież szkolna kontynuuje masowe gromadzenie makulatury” (GK 280/61,7). Czytamy też, że „poddawano praktycznemu sprawdzeniu ich stanu technicznego” (GrR 146/61,5), że „do końca roku dokonane zostaną wszystkie czynności związane z ostatecznym przeprowadzeniem sprzedaży” (GrR 143/61,4), że po zakończeniu badań „przystąpi się do wyciągania wniosków” (P 12/62,21). Owa maniera peryfrastyczna przenika do polszczyzny pisanej głównie ze stylu urzęd-

wego. Wielowyrasowe, utarte zespolenia składają się w dużej mierze na szablon stylistyczny. Oto np. początek zwykłej notatki o braku w sprzedaży wód mineralnych: „Sprawa napojów jest najsłabszym, ale nie jedynym ogniwem łańcucha, który rwie się w trudniejszych sytuacjach i dlatego należałoby problem ten rozpatrywać w kontekście innych dziedzin zaopatrzenia miasta”. EW 113/68,5. Ten sam tekst, z minimalnymi modyfikacjami, można by było przenieść np. do artykułu o tematyce politycznej. Szablon stylowy wypadnie potraktować jako jeden z rodzajów wykolejeń leksykalnych właśnie z punktu widzenia kryterium funkcjonalnego. Szablonowe środki słowne mają — ze względu na swoją uniwersalność — bardzo małą wartość komunikatywną; niewiele się np. dowiemy o treści obrad poświęconych — jak pisze sprawozdawca — „konkretyzacji kierunków uzyskiwania obniżki kosztów własnych”. SłL 313/61,3. Prefabrykaty słowne zwykle nie odpowiadają charakterowi wypowiedzi, zacierają całą jej indywidualność.

To samo stwierdzenie można odnieść do tak zwanych wyrazów modnych. Przypomnijmy chociażby mechaniczne, nie dostosowane do zawartości treściowej tekstu, użycie modnej metaforyki „budowlanej”, „wojskowej” czy „produkcyjnej”:

„Obie drużyny grały podobnym systemem, b u d u j ą c swe akcje przeważnie z defensywy” (Sp. 96/61,3); „[Nasi] bardzo szybko zdobywają teren, b u d u j ą c wszystkie akcje prawą stroną” (KL 136/61,4); „Ograniczono również produkcję nasion, tak że jej o d b u d o w a następcza może trudności” (TM 284/61,3).

„Widzowie a t a k o w a n i są przy użyciu najrozmaitszych środków” (EW 109/61,2); „[Pisarz] pragnie a t a k o w a ć poprzez intelektualne doznania” (SłL 32/61,4); „Publikacja donosząca o ciekawych, „a t a k u j ą c y c h” wydarzeniach okresu” (Szt. Mł. 36/61, Kultura s. 1).

A oto niezbyt sensowne użycie modnego wyrazu *produkcja*: „Świnia zużywa mniej energii na utrzymanie temperatury ciała i może ją przeznaczyć na p r o d u k c j ę mięsa [i] tłuszczu” (Chł. Dr. 99/61,10).

Użycie wyrazów modnych osłabia komunikatywną sprawność tekstu przede wszystkim dlatego, że pojawiają się one na miejscu elementów precyzyjnych, szczegółowszych, ale pozbawionych uroku świeżości, nietradycyjności, który charakteryzuje „nowinki leksykalne”. Warto może pokazać zastosowania kilku takich „uniwersalnych” czasowników, zdolnych wyprzeć z tekstu najróżniejsze czasowniki o znaczeniach konkretnych.

„Byłoby wielkim ryzykiem czynić jakieś przewidywania”. KL 100/61,1 («snuć»); „Pisaliśmy o postrachu, jaki c z y n i ły dwa misie”. T 23/61,7 («siały, budziły, szerzyły»); „Wszystkie te «rady» c z y n i o n e są całkiem serio”. Szt. Mł. 281/61,4 (*udzielać rad*).

Modny czasownik *dokonać* wypiera przede wszystkim swe najbliższe synonimy: *wykonać* i *zrobić*:

„W ciągu ubiegłego roku dokonano (...) dużego kroku naprzód”. Gl. W. 10/61,1 (zrobić *krok naprzód*); „W celu dokonania zastrzyku przyjeżdżają (...) wysłannicy z ośrodka”. EIl. 128/61,4; „Stojący obok fotograf dokonał kilku zdjęć”. Kul. 24/62,6 (zamiast *wykonał* lub *zrobił zdjęcia*); „Otrzymali skomplikowane zadanie dokonania 12 (...) działań [matematycznych]”. Szt. Mł. 286/61,1 (*wykonać działania*).

Ekspansja *dokonać* obejmuje jednak i zakres użyć wyrazów bardziej już od niego odległych znaczeniowo, np. *odbyć*, *zorganizować* itp.

„Ta wielka akcja dokonana została po raz pierwszy”. GB 20/61,1 (akcję się *organizuje* lub *przeprowadza*). „Podróży na księżyc będzie można dokonać w ciągu niecałych 5 dób”. GłK 239/61,1 (zamiast *odbyć podróż*).

Charakterystyczne jest jeszcze jedno zjawisko: takie uniwersalne czasowniki, „słowa-wytrychy”, mogą się wzajemnie zastępować w najróżniejszych kontekstach. Była już mowa o niepoprawnym połączeniu *dokonać akcji*, spotyka się jednak i związek *wykonać akcję* („Wykonał również kilka czysto użytkowych akcji, jak zbadanie podziemi w Kłodzku”. Szt. Mł. 281/61,1). Zamiast tradycyjnego zwrotu *odbyć rejs* tworzy się wtórne związki *dokonać rejsu* czy *wykonać rejs* („Eskadra dokonała rejsu dookoła świata”. Dś 30/61,16; «Batory» *wykona* w br. 9 rejsów. KSz 78/61,1). Z kolei *dokonać* w pewnych kontekstach ustępuje miejsca równie ekspansywnemu czasownikowi *przeprowadzić* („Trzeba *przeprowadzić* zamach stanu”. PS 115/61,4).

Nie ulega wątpliwości, że cytowane przykłady są nie tylko ilustracją niecelowego użycia elementów zbyt ogólnych w stosunku do treści, którą mają zasygnalizować. Następuje w nich ponadto zatarcie określonych różnic znaczeniowych między wyrazami, niedopuszczalna ich zamiana. Wykolejenia takie będą się więc kwalifikowały do oceny także na zasadzie kryterium uzualno-systemowego.

WYKAZ SKRÓTÓW

Chł. Dr. — „Chłopska Droga”, Dś — „Dookoła świata”, DZ — „Dziennik Zachodni”, DzB — „Dziennik Bałtycki”, DzP — „Dziennik Polski”, EIl. — „Express Ilustrowany”, EK — „Echo Krakowa”, EP — „Express Poznański”, EW — „Express Wieczorny”, GB — „Gazeta Białostocka”, GK — „Gazeta Krakowska”, GłK — „Głos Koszaliński”, GIP — „Głos Pracy”, GłW — „Głos Wybrzeża”, GP — „Gazeta Polska”, GPom — „Gazeta Pomorska”, GrR — „Gromada-Rolnik Polski”, KL — „Kurier Lubelski”, KSz — „Kurier Szczeciński”, Kul. — „Kulisy”, NRz — „Nowiny Rzeszowskie”, P — „Panorama”, PP — „Panorama Północy”, PS — „Przegląd Sportowy”, SiL — „Słowo Ludu”, Sp. — „Sport”, Sport. — „Sportowiec”, Szt. Mł. — „Sztandar Młodych”, T — „Tempo”, TM — „Trybuna Mazowiecka”, TR — „Trybuna Robotnicza”.

CO TO JEST NAZEWNICTWO MARYNISTYCZNE?

W r. 1945 prof. W. Taszycki utworzył wyraz *nazewnictwo*, równoznacznik wyrazu *onomastyka* 1. «nauka, której przedmiotem są *n o m i n a p r o p r i a*, a więc wyrazy albo połączenia wyrazowe oznaczające pojedyncze, indywidualne istoty żywe, rzeczy i szeroko pojęte instytucje, tj. takie wyrazy lub połączenia wyrazowe, jak np. *Bogusław, Katarzyna, Słowiński, Neptun, Krasula, Hindus, Afryka, Francja, Gdańsk, Mokotów, Martwa Wisła, Zalaskowski Staw Niebocki, Adriatyk, Zalew Kuroński, Bieszczady, Łysa Góra*», 2. «zbiór takich nazw». W 1952 r. o neologizmie *nazewnictwo* pisał prof. W. Doroszewski (podając też datę jego powstania i wymieniając jego autora): „Poradnik Językowy” 1952, z. 9, s. 39—40, następnie szerzej — sam prof. Taszycki: *Jak powstał i co znaczy nowotwór „nazewnictwo”?*, „Onomastica” I 1955, s. 185—191.

Już w 1954 r. zaczęto sygnalizować, że się tym nowym wyrazem zastępuje wyraz *terminologia* «ogół terminów, którymi się posługuje dana dziedzina wiedzy, techniki itd.», a więc że się wyraz *nazewnictwo*, w rzeczywistości związany z pojęciem nazw własnych, wiąże z nazwami pospolitymi (*n o m i n a a p p e l l a t i v a*), jakimi są *terminy* «wyrazy albo połączenia wyrazowe o specjalnym, konwencjonalnie ustalonym znaczeniu np. w nauce, sztuce, technice, handlu, życiu społecznym, jak np. *formant, iloczyn jonowy, powłoka elektronowa, krytyczne parametry przepływu, pływy, zęza, trasant, homilia, wyprost*; słownictwo specjalne; nazwy naukowe, techniczne, sportowe itd.». Zjawisko to chyba pierwszy zasygnalizował redaktor „Przeglądu Językowego Normalizacji” (stały dodatek do mies. „Normalizacja” = dawn. „Wiadomości PKN”), dr K. Zbierski: *Z powodu nowotworu nazewnictwo*, „Poradnik Językowy” 1954, z. 8, s. 34—35.

Prof. Taszycki w wymienionym artykule w „Onomastica” po zacytowaniu doniesienia dra Zbierskiego pisał, że przyszłość okaże, czy *nazewnictwo* zdoła się utrzymać obok *terminologii* i *nomenklatury* „i zagrozić dalszemu ich w języku naszym istnieniu. Na razie [przypominam: idzie tu o r. 1955; uw. Z. B.] z dwu tych wyrazów zwłaszcza *terminologia* skutecznie się opiera podejmowanym na jego całość zakusom” (s. 188).

Obecnie opiera się coraz mniej skutecznie; wyraz *terminologia*, znany

już Lindemu¹ (leksygraficznie ujęty jednak dopiero w Słowniku wileńskim, 1861 r.), i wyraz *nomenklatura* coraz częściej zastępowane są (niekiedy także w czasopismach językoznawczych!) wyrazem *nazewnictwo*, powstałym w 1945 r. Oto kilka przykładów²:

„Dotychczas nie zostało ujednoczone *n a z e w n i c t w o*³ pomieszczenia latarni, w którym znajduje się źródło światła i urządzenia optyczne. Z dostępnych materiałów międzywojennych i powojennych wynotowano następujące terminy: *kabina, kamera latarniana, kopułka świetlna, pomieszczenie optyki, kopuła*”. — M. Czerner: „Latarnie morskie polskiego wybrzeża”. Poznań 1967, s. 12—13.

„Uchwała Sekcji Fizjologii Roślin Polskiego Towarzystwa Botanicznego w sprawie uzgodnienia *n o m e n k l a t u r y i n a z e w n i c t w a* dotyczącego związków regulujących wzrost i rozwój roślin”⁴. — Uchwała opublikowana w „Postęпах Nauk Rolniczych” 1968, nr 2.

„Polskie *n a z e w n i c t w o* zoologiczne. 1: Ssaki” — Tytuł tomu wydanego w 1968 r. przez PWN pod egidą Komisji *N a z e w n i c t w a* Zwierząt Kręgowych Polskiego Towarzystwa Zoologicznego⁵.

W poz. 52689/68 „Bibliografii Zawartości Czasopism” zarejestrowano z czasopisma „Z otchłani wieków” polemikę na temat terminu *drapacz*. W nawiasie prostokątnym redakcja „Bibliografii” wyjaśnia, że idzie tutaj o „*N a z e w n i c t w o* narzędzi paleolitycznych”.

„Zdaję sobie sprawę, że postęp techniczny jest ważniejszy niż problemy *n a z e w n i c t w a*, ale może korzystniej byłoby dla postępu technicznego, gdyby był on popularyzowany rzetelnie w języku mniej obcym dla techników”. — Z listu do Redakcji „Techniki i Gospodarki Morskiej” 1968, s. 514. Autor krytykuje tutaj niektóre terminy używane w „Tech-

¹ Zob. w jego *Słowniku języka polskiego* wykaz źródeł w t. I z 1807 r., pod Farr: „Farrago Juris Joan. Cervi Tucholiensis 8. na końcu z słowniczkiem terminologii prawnej”.

² Przykładów takich mam wiele. Kilka z nich zob. też np. w moim artykule *W sprawie miejsca onomastyki w miesięczniku „Bibliografia Zawartości Czasopism”, „Onomastica” XV, 1970 (w druku)*. Zob. też mój artykuł *Co to jest słownik geograficzny?*, „Czasopismo Geograficzne” XXXIX, 1968, s. 178.

³ Tutaj i w następnych cytatach wszelkie podkreślenia i wtręty moje — Z.B.

⁴ Tutaj *nazewnictwo* = *terminologia*, natomiast *nomenklatura* oznacza coś innego niż «terminologia». O różnicy między wyrazami: *terminologia* i *nomenklatura* wspominam w cyt. wyżej (przyp. 2) artykule w „Onomastica” (objaśnienie nieco inne niż w cyt. artykule prof. Taszyckiego *Jak powstał i co znaczy...*, s. 188, przyp. 4).

⁵ Oczywiście *nazewnictwo zoologiczne* może być tylko równoznacznikiem terminu *zoonomastyka* 1. «dział onomastyki zajmujący się nazwami własnymi zwierząt», 2. «zbiór takich nazw». Por. M. Karaś: *W sprawie polskiej terminologii onomastycznej*, „Onomastica” XIII, 1968, s. 360; tu pod nrem 48 mamy: „*n a z w a z o o l o g i c z n a*, np. psów, krów, żubrów”. (Zwróćmy uwagę, że gdyby w ostatnio cytowanym tytule *terminologię* zastąpić *nazewnictwem*, tytuł ten brzmiałby: „*W sprawie polskiego nazewnictwa onomastycznego*”!!)

nice i Gospodarce Morskiej”⁶. Zwróciłem mu uwagę, że się on od innych domaga stosowania poprawnej terminologii, a sam używa terminu *nazewnictwo*, choć mówi o terminach, a więc o terminologii. Odpowiedział natychmiast: „Przecież *termin* jest wyrazem obcym!”. Wyjaśniłem, że idzie o coś innego, mianowicie o znaczenie wyrazu *nazewnictwo*: jest on równoznacznikiem wyrazu *onomastyka*, a więc nie odnosi się do terminów, które nie są przecież nazwami własnymi. Jak wynikało z dalszej rozmowy, autor ten (inżynier mechanik) nie wiedział, co to jest *onomastyka*, terminu *onomastyka* nigdy nie słyszał. Odesłałem go do słownika (do haseł: *nazewnictwo* i *terminologia*)⁷.

W lutym 1969 r. redaktor rubryki językowej (!) *Byki i byczki* w „Życiu Warszawy” pisał o *nazewnictwie* (wojskowym), choć tematem jego felietonu były *terminy* (wojskowe).

W nrze 2 z 1969 r. „Przeglądu Językowego Normalizacji” (s. 124 „Normalizacji”) główny technolog Bielskiej Fabryki Szczotek i Pędzli pisze, iż odpowiedni fachowcy zwracali uwagę autorom pewnej normy „na niewłaściwość określenia *szczecina poliamidowa*. [...] Uwagi te nie zostały, niestety, uwzględnione w ostatniej redakcji z uwagi na⁸ obowiązujące, ustalone w P[olskim] K[omitecie] N[ormalizacyjnym] *nazewnictwo* — jak to wyjaśnili autorzy normy”. Ale co ciekawsze: redaktor „Przeglądu Językowego Normalizacji”, który w 1954 r. na mieszanie *nazewnictwa* z *terminologią* zareagował artykułikiem w „Poradniku Językowym” (zob.w.), teraz nieporozumienie to pominął milczeniem⁹, co chyba świadczy, że się wrażliwość na nie — stępiła.

Dwa tytuły artykułów: *Nazewnictwo oprawek szczotkowych* —

⁶ W kilku punktach krytyka ta jest zresztą niesłuszna. Autor dopomina się np., aby używać formy *dźwignica*, choć powszechnie używana starsza jednozgłoskowa (!) forma *dźwig* jest całkowicie poprawna. Chce też, aby w słownictwie maszyn dźwigowych używać formy *trawersa*, choć powszechną jest forma męska *trawers* (tylko w terminologii budownictwa jest *trawersa*. Techniczne słowniki rosyjskie podają: *trawiersa*, ale też formy oboczne: *trawiers*, *trawierz*).

⁷ Jeśli zaś idzie o „obcość” terminu *termin*: poradziłem memu rozmówcy, aby wystąpił o zmianę nazwy zakładu naukowego, w którym pracuje, *Zakład Portów (Instytutu Morskiego)*, na „*Zakład Przystań*”. Przecież *port* też jest wyrazem — „obcym”...

⁸ *Z uwagi na...* to nowy natręt językowy; już nagminnie zastępuje zwroty: *ze względu na...*, *dlatego, że...*, *bo...*, *bowiem...*, *ponieważ...*, *gdyż...*, *z punktu widzenia...* itp. We współczesnej polszczyźnie technokratyczno-biurokratycznej wymienione zwroty już niemal nie występują, *z uwagi na...* jest uniwersalne. Główny technolog fabryki w Bielsku nie zawahał się — jak widzimy — napisać nawet: „uwagi te [...] z uwagi na [...]”.

⁹ W swej odpowiedzi korespondentowi pisze (tamże): „[...] podaję, na podstawie uzyskanych w Żespole Chemii PKN informacji, że nomenklatury, o której mowa wyżej [sc. *szczecina poliamidowa*], nie ustalono w PKN”. — W rzeczywistości *szczecina poliamidowa* jest *terminem*, a nie nomenklaturą!

w „Wiadomościach Elektrotechnicznych” 1969, nr 2; *O właściwe n a z e w - n i c t w o w k y n o l o g i i m y ś l i w s k i e j* — w „Łowcu Polskim” 1969, nr 3.

Nazewnictwo występuje nawet w miejscu zwykłego *słownictwa*; np.: „Określenie «człowiek, który...» jest tradycyjnym archaicznym zwrotem amerykańskiego *n a z e w n i c t w a (...)*” — tak w „Głosie Wybrzeża” 1965, nr 288.

Może ta wieloznaczność wyrazu *nazewnictwo* jest przyczyną pojawienia się określenia *nazewnictwo własne (!)*: „Uwzględnione zostało [w Słown. gwar kaszubskich B. Sychty] także *n a z e w n i c t w o w ł a s n e*, to znaczy charakterystyczne nazwy osobowe (jednostkowe i zbiorowe) oraz geograficzne (miejscowe i terenowe), również nazwy własne zwierząt” — tak w „Roczniku Slawistycznym” XXIX/1, 1968, s. 119.

Jak tak dalej pójdzie, będziemy mieli też **nazewnictwo pospolite* 1. «zbiór wyrazów pospolitych», 2. «nauka o tych wyrazach, leksykologia». Ktoś może nawet powiedzieć, że skoro się *nazewnictwo* odnosi i do *propiów* i do *apelatywów*, to terminologiczne rozróżnienie: *nazewnictwo własne* — *nazewnictwo pospolite* wcale nie będzie złym wyjściem z impasu...

A teraz poważnie: Zdaję sobie sprawę, że się głową muru nie przebiję, ale ponieważ się termin *nazewnictwo* jeszcze nie całkowicie upowszechnił w znaczeniu «terminologia, nomenklatura», jeszcze nie zupełnie wyparł wyrazy: *terminologia*, *nomenklatura*, warto się przeciwstawić semantycznej inwazji tego terminu, inwazji powodującej w pierwszej fazie nieporozumienia, w drugiej zaś, gdy już całkowicie wyeliminuje on swoje synonimy, powodującej zubożenie słownictwa.

Przy okazji: Już się dwukrotnie spotkałem z użyciem wyrazu *nomenklatura* w znaczeniu «to, co wyraz znaczy, desygnat, definicja»! W artykule *Zaginął sztauer* w nrze 27 z 1965 r. „Dziennika Bałtyckiego” na wstępie autor podaje definicję terminu *sztauer*, następnie pisze: „Po tym encyklopedycznym wyjaśnieniu *n o m e n k l a t u r y* słowa *sztauer* przejdźmy do realiów”. Drugi przykład takiego nieporozumienia pochodzi z radia (wrzesień 1967 r.): reżyser filmu „Sami swoi” mówił, że w filmie tym zastosowano „uniwersalną gwarę zabużańską” (konsultantem w tym zakresie był — jak oznajmiono — prof. S. Bąk), chodziło o to, aby bohaterzy filmu nie używali wyrazów, które są znane tylko jednej gwarze kresowej, nie znane zaś innej, ani też „słów, które miałyby inną *n o m e n k l a t u r ę*”, to jest — wyjaśnijmy — wyrazów, które w jednej gwarze *z n a c z ą* co innego niż w gwarze drugiej.

I na koniec: Przez oryginalne teksty angielskie utworów Josepha Conrada przewija się precyzyjna, fachowa terminologia morska niezbędna przy odtwarzaniu np. scen na żaglowcach. Tłumacze polscy nie zdołali się z terminologią tą uporać, w ich tłumaczeniach jest bardzo wiele błę-

dów, które wręcz zniekształcają myśl autora¹⁰. Po ostatniej wojnie niejednokrotnie to sygnalizowano, domagano się poprawienia terminologii w nowych edycjach tłumaczeń Conrada. Pierwszy krok uczyniono w 1963 r.: Państwowy Instytut Wydawniczy wydał wówczas, w serii „Z pism Josepha Conrada” „Zwierciadło morza”, gdzie już są pewne poprawki terminologiczne¹¹. Według wydawcy są to jednak poprawki nazewnicze: na metryczce książki umieszczono nazwisko tego, co ustalił „nazewnictwo marynistyczne”. Takie sformułowanie jest też w następnych wydaniach (w 1969 r. ukazało się wydanie III)¹².

Błędnie użyty jest tutaj nie tylko wyraz *nazewnictwo*, ale i wyraz *marynistyczny*. Przym. *marynistyczny* odnosi się do rzecz. *marynista* «artysta tworzący dzieła o tematyce morskiej» lub *marynistyka* «twórczość artystyczna o tematyce morskiej». Od pewnego czasu zaczyna on zastępować przym. *morski*¹³, czemu też się nie należy przeciwstawiać, bo i ta moda prowadzi do nieporozumień i przez eliminację przym. *morski* powoduje zubożenia słownictwa.

¹⁰ Por. broszurę: „Zagle znikają z oceanów. Żegluga w oczach J. Conrada”. Wyboru z dzieł J. Conrada dokonał i komentarz opracował S. Ludwig. Gdynia 1965, s. 63—64. Siedem głównych utworów Conrada, z których dokonano wyboru w broszurze Ludwiga, liczy w sumie ok. 1400 stron, fragmenty wyzyskane — 49 stron, a więc 3,5% całości. W edycji Ludwiga poprawiono terminologię morską w ok. 110 miejscach (poprawiali: komendant „Daru Pomorza”, kpt. ż.w. K. Jurkiewicz i redaktor *Słownika morskiego ang.-pol. i pol.-ang.* WNT, żeglarz i mechanik okrętowy, inż. S. Milewski). Z proporcji wyboru do całości można wyliczyć, że tylko w siedmiu utworach Conrada znajduje się przeszło 3000 błędów w zakresie terminologii morskiej.

¹¹ Nie poprawiono jednak wszystkiego, z drugiej zaś strony w niektórych wypadkach popsuto to, co dała tłumaczka, A. Zagórska, np. określenie marynarza (w danym wypadku jest nim kapitan) pływającego po oceanach, dalekich morzach, ang. *deep-water man*, w „poprawionej” edycji ma formę *kapitan głębokich wód*, co jest nonsensem (ang. *the deep* znaczy «ocean»), którego nie ma u Zagórskiej: tłumaczka użyła wyrażenia *kapitan dalekich wód*. Zob. o tym szerzej: Z. Brocki: „Morze na oku”, Gdynia 1964, s. 27—28, też ogólną ocenę PIW-owskiego „poprawionego” wydania „Zwierciadła morza” — S. Milewski: *Czyżby Conrad nie miał do rodaków szczęścia?*, „Tygodnik Morski” 1963, nr 19. (Warto poinformować, że w końcu 1968 r. Sekcja Conradowska Towarzystwa Przyjaciół Muzeum Morskiego w Gdańsku wystąpiła do Państwowego Instytutu Wydawniczego z petycją o generalne fachowe zrewidowanie terminologii w tłumaczeniach Conrada. Za sprawą znanego naszego conradzisty, J. Najdera, petycję tę poparł prezes Związku Literatów Polskich, J. Iwaszkiewicz).

¹² Inna sprawa, że w tłumaczeniu „Zwierciadła morza” należałoby poprawić również nazewnictwo, np. błędną nazwę *Zatoka Liońska* (zob. s. 176 wyd. PIW-u z 1949 r.; tak samo w cyt. wydaniu z 1963 r., na s. 179); powinno być: *Zatoka Lwia*, forma powszechna w naszej kartografii, taka też w *Polskim nazewnictwie geograficznym świata* Instytutu Geografii PAN, Warszawa 1959 (zob. szerzej o tym: Z. Brocki: *O polską nazwę dla Golfe du Lion* „Czasopismo Geograficzne XXXVII”, 1966, s. 49—50).

¹³ Zwracano na to uwagę już niejednokrotnie. Zob. np. B. Miazgowski: „Morze w literaturze polskiej”, Gdynia 1964, szczególnie s. 114—115. Szerzej o całym zagad-

PIW-owskie zestawienie *nazewnictwo marynistyczne* jest więc w istocie bezsensowne. Natomiast sensowny byłby termin **nazewnictwo morskie*. W projekcie polskiej terminologii onomastycznej prof. M. Karasia jest termin *nazwa morska*¹⁴. Mamy go również w książce tegoż badacza poświęconej nazewnictwu Wysp Elafickich; oznacza on proprium odnoszące się do obszarów morskich (np. nazwą morską jest *Mali Vratnik* «nazwa własna pewnej cieśniny») ¹⁵. Skoro jest np. *nazewnictwo miejscowe* «zbiór nazw miejscowych», może być też **nazewnictwo morskie* «zbiór nazw morskich».

W informacji wydawcy „Zwierciadła morza”, o której mówiliśmy wyżej, powinien być użyty przym. *morski*, a więc cała informacja powinna mieć postać: *terminologia morska*.

Z rzecz. *terminologia przym. marynistyczny* mógłby być zestawiony tylko wówczas, gdyby marynistyka miała swoją terminologię, tj. gdyby się wytworzyło jakieś słownictwo zawodowe marynistów, tak jak się wytworzyło np. słownictwo zawodowe marynarzy (*terminologia morska*), albo gdyby istniała jakaś literaturoznawcza teoria marynistyki, która by miała swoją terminologię. Ale terminologii takiej nie ma. Że pisarze maryniści w swych utworach używają *terminów morskich* «terminów fachowych środowiska marynarzy, rybaków morskich, portowców, okrętowców», jak np. pisarze tworzący dzieła o tematyce lotniczej używają *terminów lotniczych* — to przecież zupełnie inna sprawa.

nieniu: Z. Brocki: *Marynista, marynistyka, marynistyczny* — terminy nadużywane, „Przegląd Morski” 1966, z. 11, s. 79—82, co niemal dosłownie powtórzył z aprobatą kmdr ppor. E. Koczorowski w artykule: *Marynistyka na rozdrożu?*, „Siódmy Głos Tygodnia” 1968, nr 1, s. 13. — Przym. *marynistyczny* zamiast *morski* mamy też w „poprawionej” edycji Conradowego „Zwierciadła morza”; Zagórskiej „książki *marynarskie*” (s. 174 wydania z 1949 r.) są wprawdzie niefortunne, ale poprawka na „książki *marynistyczne*” (s. 177 edycji nowej) jest bardzo problematyczna. Kontekst wskazuje, że idzie tu po prostu o książki *morskie* (wcale niekoniecznie utwory artystyczne, lecz w ogóle książki o tematyce morskiej).

¹⁴ Zob. w cyt. wyżej (przyp. 5) pracy M. Karasia nr 2213.

¹⁵ M. Karaś: „Toponimia Wysp Elafickich na Adriatyku”, Wrocław—Warszawa—Kraków 1968, s. 21, 23.

Zbigniew Kościelak

PODRĘCZNIKI JĘZYKA POLSKIEGO DLA CUDZOZIEMCÓW (CHARAKTERYSTYKA, PRÓBA OCENY ORAZ WYKAZ BIBLIOGRAFICZNY)

W ostatnich latach wyraźnie wzrosło zainteresowanie językiem polskim jako językiem obcym. Coraz liczniej przybywają do Polski na praktyki zawodowe, studia oraz staże naukowe cudzoziemscy uczniowie, studenci i stażyści. Język polski jako język obcy stał się ważnym przedmiotem nauczania we wszystkich ośrodkach akademickich naszego kraju, w związku z czym wzrosła liczebnie kadra lektorów, a nowy w dydaktyce języków obcych przedmiot zaczął zwracać na siebie baczniejszą uwagę językoznawców¹.

Również za granicą odbywają się coraz liczniejsze kursy języka polskiego prowadzone najczęściej przez lektorów wysłanych z Polski (w tym roku, według danych Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego, pracuje 31 polskich lektorów w 18 krajach), a wobec powszechnego dziś na całym świecie zainteresowania językami obcymi wzrastają szeregi cudzoziemskich samouków, którzy obrali sobie za cel opanowanie języka polskiego.

Nauczanie języka polskiego jako obcego stało się więc zadaniem ciągłym, poważnym, wymagającym trwałych form organizacyjnych oraz odpowiedniej, opartej na językoznawczych podstawach metodyki. Potrzeba też dobrych, obudowanych pomocami audiowizualnymi i bogatym materiałem do ćwiczeń, podręczników, które w teorii i w praktyce nauczania języków obcych stanowią pomoc najważniejszą — za ich bowiem pośrednictwem są efektywnie wcielane w życie ogólne zasady metodyki oraz wynikające z nich zalecenia szczegółowe². Ale dobre podręczniki to poważny problem nie tylko dla dydaktyki języka polskiego jako obce-

¹ Świadczą o tym ogólnopolskie konferencje naukowe organizowane na zlecenie Ministerstwa przez Zakład Językoznawstwa Stosowanego UAM w Poznaniu, które odbyły się w Opatowie k. Kępna (w maju 1968), Kołobrzegu (we wrześniu 1968) oraz w Zakopanem (w kwietniu 1969); patrz: Janina Wójtowicz: *Nauczanie języka polskiego jako obcego. Ogólnopolska konferencja metodyczna w dn. 27—29 maja 1968*. „Por. Jęz.” 1969, nr 3, s. 149—153.

² Emanuel Szubin: „Podstawowe zasady metodyki nauczania języków obcych”, Warszawa 1966, s. 124.

go, lecz i dla dydaktyki języków obcych w ogóle, daleko więc pod tym względem do stanu optymalnego. Tymczasem jednak, aby sprostać rosnącemu zapotrzebowaniu i zainteresowaniu językiem polskim, trzeba korzystać z tego, co już jest, trzeba sięgać po wydane dotąd w kraju i za granicą skrypty i podręczniki, przygotowywać materiał językowy i pomoce dydaktyczne³.

Jakie są te dostępne obecnie dla lektora i uczącego się cudzoziemca podręczniki? Ile ich jest i jakie stawia się przed nimi aktualnie wymagania? — na te pytania postaramy się przynajmniej w części dać odpowiedź w niniejszym artykule, charakteryzując i próbując ocenić skrypty i podręczniki języka polskiego dla cudzoziemców oraz przedstawiając możliwie pełną bibliografię w tym zakresie⁴.

Najlichnieszą grupę podręcznikowych pomocy dydaktycznych opracowanych w Polsce stanowią skrypty i podręczniki wydane przez wydawnictwa uniwersytetów łódzkiego i warszawskiego, przy tych bowiem uczelniach istnieją największe i najbardziej dziś w nauczaniu języka polskiego doświadczone ośrodki: Studium Języka Polskiego dla Cudzoziemców w Łodzi oraz Studium Języka i Kultury Polskiej dla Cudzoziemców — „Polonicum” w Warszawie. Podręczniki te wobec zupełnego początkowo braku pomocy dydaktycznych musiały przede wszystkim zaspokoić pilną potrzebę materiałów do lektoratu języka polskiego, dlatego też pierwsze skrypty opracowane przez kadrę lektorów warszawskiego „Polonicum” to „Materiały do lektoratu języka polskiego” (poz. bibl. 10, 15, 24). W latach 1963—64 powstał zrodzony z potrzeb Studium w Łodzi podręcznik „Język polski — skrypt dla cudzoziemców” (14), którego liczne, podobnie jak „Materiałów”, wydania wymownie świadczą o rosnącym z roku na rok zapotrzebowaniu na podręcznikową pomoc dla lektorów i studentów.

Nie są to pomoce doskonałe. Ich wady są dziś bardzo widoczne: sztuczne, nieciekawe, grzeszące literackością i wielosłowiem teksty, służące głównie do egzemplifikacji poszczególnych zjawisk gramatycznych języka polskiego, skąpa idiomatyka i frazeologia, a także brak odpowiednich ćwiczeń automatyzujących wprowadzane struktury zdaniowe. Problem różnojęzyczności obcokrajowców, którzy mieli korzystać z tych podręczników, rozwiązano w pierwszych wydaniach w ten sposób, że słówka do poszczególnych tekstów zaopatrzone w angielskie, francuskie i hiszpań-

³ Stanisław Skorupka: *Pomoce dydaktyczne w nauczaniu języka polskiego cudzoziemców*, „Por. Jęz.” 1962 nr 3, s. 97—107.

⁴ Pierwszej próby zestawienia pełnej bibliografii dydaktyki języka polskiego jako obcego (1945—1968) dokonał Jan Lewandowski w komunikacie bibliograficznym wydanym w 1968 r. przez sekcję języka polskiego Ośrodka Metodycznego Nauczania Języków Obcych Uniwersytetu Warszawskiego (maszyn. powiel.).

skie odpowiedniki oraz w bilateralne słowniczki, np. słownik polsko-angielski i polsko-niemiecki (25), do podręcznika zaś „łódzkiego” dodano (osobno) słownik polsko-wietnamski (21).

Dalsze skrypty wydane przez „Polonicum” i Studium Języka Polskiego w Łodzi wykazują pewne zróżnicowanie pod względem charakteru i przeznaczenia spowodowane odmiennością zadań, jakie spełniają te ośrodki. W Łodzi na rocznych kursach przygotowuje się cudzoziemców nie znających zupełnie języka polskiego do podjęcia studiów na różnych wydziałach polskich szkół wyższych, tymczasem w Warszawie prowadzi się w większości lektoraty i kursy wakacyjne dla obcokrajowców, którzy w znajomości języka polskiego znacznie już są zaawansowani. Dla słuchaczy łódzkiego Studium przygotowano więc uzupełniające teksty zawierające podstawowy zasób słownictwa z różnych dziedzin nauki: fizyki (19), chemii (16), matematyki (6, 18) i geometrii (20), „Polonicum” zaś przygotowało wybory tekstów, próbne zeszyty słownika frazeologicznego oraz gramatykę języka polskiego dla cudzoziemców.

Dwuczęściowy „Wybór tekstów na użytek lektoratów języka polskiego” (12, 22) ma wprowadzić zaawansowanych już w znajomości współczesnego języka polskiego cudzoziemców, głównie studentów polonistyki i slawistów, w krąg kultury i literatury polskiej, ma ich zapoznać z różnymi stylami pisarskimi oraz swoistymi cechami języka różnych epok. W krąg zagadnień społeczno-politycznych wprowadza wybór tekstów „Mówimy po polsku o problemach społeczno-politycznych” (11). Jako pomoc w nauczaniu obcokrajowców pomyślane są też dwa wydane dotąd zeszyty „Małego słownika frazeologicznego” T. Iglirkowskiej i H. Kurkowskiej (8, 9), zawierające bogaty zasób frazeologii języka polskiego (głównie jego odmiany potocznej) oraz „Gramatyka języka polskiego dla cudzoziemców” Witolda Cienkowskiego (4), stanowiąca wybór najważniejszych faktów z zakresu fleksji języka polskiego, prezentowany z punktu widzenia obcokrajowca, wzbogacony licznymi ćwiczeniami.

Jeżeli wymienimy tu jeszcze skrypt przygotowany przez Studium Języków Obcych AGH w Krakowie (23), który — uzupełniając brak podręcznika dla obcokrajowców po wstępnym kursie nauki języka — miał pomóc im w przyswojeniu sobie polskiej terminologii technicznej oraz problematyki społeczno-politycznej, to okaże się, że nie brak było dotychczas wysiłków mających na celu stworzenie całego systemu pomocy dydaktycznych do nauczania języka polskiego jako obcego.

Właściwa ocena wartości tych pomocy byłaby możliwa jedynie na podstawie doświadczeń lektorów, ale brak dotąd wymiany opinii w tym zakresie, chociaż od dawna istnieje oczywista tego potrzeba⁵. Dyskusyjny

⁵ Na problem ten zwrócił również uwagę prof. Bronisław Wieczorkiewicz w artykule pt. *Uwagi o nauczaniu języka polskiego jako obcego*, „Por. Jęz.” 1966, nr 6, s. 250—255.

bowiem wydaje się nieraz dobór tekstów, układ materiału lub też sposób jego prezentacji (to ostatnie zastrzeżenie odnosi się np. do „Gramatyki” W. Cienkowskiego (4), która ze względu na jedynie polski komentarz oraz brak chociażby bilateralnego słownika użytych w podręczniku terminów gramatycznych staje się dostępna tylko dla cudzoziemców znających już doskonale język polski). Największą jednak wadą tych pomocy jest bardzo słaby poziom graficzny, powielaczowa forma, brak ilustracji, nieatrakcyjna prezencja oraz wyraźne niejednokrotnie oznaki pośpiechu i tymczasowości. Ze względu na mały nakład lub lokalne przeznaczenie niektóre z nich nie zostały odpowiednio rozpowszechnione, i tak np. jedynie dotąd, potrzebne i pożyteczne „Ćwiczenia wdrażające” A. Laskierowej, J. Wenclowej, M. Wiśniewskiej-Mync (17) ze względów technicznych w swej zasadniczej, dźwiękowej formie nie wydoszły się poza Studium Języka Polskiego dla Cudzoziemców w Łodzi.

Powyższe zastrzeżenia nie dotyczą, rzecz jasna, licznych podręczników języka polskiego wydanych w kraju i za granicą, a przeznaczonych dla szerszego kręgu odbiorców określonej narodowości, co wiąże się najczęściej z miejscem ich wydania. Geografia w tym zakresie jest dość różnorodna — podręczniki do języka polskiego oraz szereg polskich rozmówek (40—51) wydano bowiem w Anglii (27), Bułgarii (28), Czechosłowacji (31, 32, 34, 39), NRD (29, 37), na Węgrzech (38), we Włoszech (36) i w Związku Radzieckim (33), co wzbogacone wydawnictwami polskimi daje dorobek niemały.

Różną wartość i niejednakową przydatność mają dziś te podręczniki. Niektóre z nich są już przestarzałe (np. poz. bibliogr. 30, 31, 34, 35), inne ze względu na metodę, dobór i sposób prezentacji materiału nie gwarantują uczącemu się dostatecznie pewnej pomocy w nauce (np. „Let's Learn English” Zofii Bastgen i „Wir lernen polnisch sprechen” W. Reinholza), jeszcze inne grzeszą literackością i dłużyznami dialogów (np. „Učebnik pol'skogo jazyka” S. Karolaka i D. Wasilewskiej) lub budzą zastrzeżenia z tytułu niekonsekwentnej, niestarannej transkrypcji fonetycznej tekstów albo z powodu monotonii ćwiczeń typu: „przetłumacz na język polski” i „odpowiedz na pytania”.

Wyliczanie „grzechów” poszczególnych podręczników nie jest oczywiście celem tego artykułu, nie będziemy więc wdawać się w zbyt szczegółową analizę, wskażemy za to na kilka pozytywnie wyróżniających się pomocy. Do nich należy nagrany na płyty kurs języka polskiego dla początkujących zatytułowany „Mówimy po polsku”, do którego pięknie i starannie wydano podręczniki w angielskiej (3a), niemieckiej (3b) i rosyjskiej (3c) wersji językowej, a w najbliższym czasie ukaże się jeszcze wersja francuska.

Nowy podręcznik dla niezaawansowanych przygotowany został rów-

niez przez T. Iglirkowską i L. Kacprzak (7). Wydana dotąd cz. I zawiera 30 lekcji obejmujących 1000 jednostek leksykalnych, przy czym formy czasowników niedokonanych uważa się tu za jedną jednostkę leksykalną. Jasna, poparta funkcjonalnym opracowaniem graficznym prezentacja materiału, żywe, zwarte dialogi oraz właściwy dobór ćwiczeń stawiają ten podręcznik w rzędzie najwartościowszych pomocy w trudnym procesie nauczania języka polskiego cudzoziemców.

Do takich należeć będzie również niewątpliwie „Gramatyka polska w dialogach” J. Wójtowicz i L. Szkutnika (26), skrypt, który za główny cel bierze konwersacje, naukę codziennych rozmów, a nie podanie pewnej sumy wiadomości o nauczonym języku, co jest wadą praktycznie biorąc niemal wszystkich podręczników do języków obcych⁶. Skrypt przynosi więc ćwiczenia mające doprowadzić uczącego się do automatyzacji podstawowych struktur zdaniowych, które dają się wypełniać coraz to nowymi treściami na zasadzie wymienności poszczególnych, podsuwanych przez autorów podręcznika, elementów. Ten bogaty zbiór materiałów do nauki konwersacji — obok podstawowego podręcznika języka polskiego — to prawdziwie cenna pomoc przy opanowywaniu języka.

Oczywiście, wydane dotąd podręczniki nie zaspokajają jeszcze w pełni wymagań dydaktyki języka polskiego jako obcego i nie ma wśród nich takiego, który zarówno pod względem merytorycznym, jak i graficznym byłby doskonały, „idealny”⁷. Nie ma również pełnego, godnego rozpozszechnienia, dźwiękowego programu języka polskiego (na wzór np. „English 900”), z którym można by pracować w laboratorium językowym. Nie widać też prób programowania nauki języka polskiego jako obcego. Można się jednak spodziewać, że dynamicznie rozwijająca się lingwistyczna teoria nauczania języków obcych oraz odpowiednio ukierunkowane prace badawcze nad językiem polskim przyczynią się do szybkiego rozwoju metodyki nauczania języka polskiego jako obcego, a nowe podręczniki dla cudzoziemców, uniknąwszy starych błędów, sprostają wymaganiom, jakie stawiają im lektorzy i uczniowie.

Bibliografia, którą prezentuję na koniec, nie pretenduje do miana kompletnej, zwłaszcza jeżeli chodzi o podręczniki wydane za granicą. Mamy jednak nadzieję, że spełniając swoje informacyjne zadanie, przyczyni się również do zainteresowania nowym wśród języków obcych przedmiotem nauczania.

⁶ Ludwik Zabrocki: „Językoznawcze podstawy metodyki nauczania języków obcych”, Warszawa 1966, s. 34.

⁷ Warunki, jakim winien odpowiadać podręcznik „prawie idealny”, przedstawił Jerzy Z. Woźniak w artykule *Uwagi o podręczniku do nauczania języka polskiego jako języka obcego* „Biuletyn Dydaktyczny SJO Politechniki Warszawskiej”, zeszyt 1, Warszawa 1967, s. 57—62.

BIBLIOGRAFIA

A) SKRYPTY I PODRĘCZNIKI JĘZYKA POLSKIEGO ORAZ INNE POMOCE DYDAKTYCZNE
DLA CUDZOZIEMCÓW WYDANE W POLSCE

1. Zofia Bastgen: „Let's Learn English”, Warszawa, WP, wyd. I 1961, s. 274; wyd. II 1967, s. 276.
2. Barbara Białostocka-Przybyłowska: „Le polonais par la radio. Avec le concours de Zofia Krynicka, Hanna Dobrucka et Krystyna Orłowska”, Cah. No 1—20, Polskie Radio, Zespół Programu dla Zagranicy, Warszawa 1964—65.
- 3a. W. Bisko, S. Karolak, D. Wasilewska, S. Kryński: „Mówimy po polsku. A Beginners' Course of Polish”, Warszawa, WP, 1966, s. 327, plus komplet płyt.
- 3b. W. Bisko, S. Karolak, R. Tertel, D. Wasilewska: „Mówimy po polsku. Lehrbuch der polonischen Sprache für Anfänger”, Warszawa, WP, 1968, s. 336, plus komplet płyt.
- 3c. W. Bisko, S. Karolak, D. Wasilewska, S. Rafał: „Mówimy po polsku. Učebnik pol'skogo jazyka, načal'nyj kurs”, Warszawa, WP, 1968, s. 344, plus komplet płyt.
4. Witold Cienkowski: „Gramatyka języka polskiego dla cudzoziemców” cz. II, *Fleksja (z ćwiczeniami)*, Warszawa, SJKPdc UW, 1966, s. 255.
5. Janina Dembowska, Henryka Martyniak: „Apprenons le polonais”, Warszawa, WP, wyd. I, 1965, s. 288; wyd. II 1968 s. 317.
6. Anna Hładkowska, Jerzy Morawiec, Jan Starski: „Teksty matematyczne. Skrypt dla cudzoziemców”, Łódź, UŁ, wyd. I, 1965; wyd. II 1968, s. 242. (Maszyn. powiel.).
7. Teresa Iglikowska, Lidia Kacprzak: „Język polski dla cudzoziemców. Podręcznik dla niezaawansowanych”, cz. I, Warszawa, SJKPdc UW, 1968, s. 424.
8. Teresa Iglikowska, Halina Kurkowska: „Mały słownik frazeologiczny”. Zeszyt próbny, Warszawa, SJKPdc UW, 1963, s. 113. (Maszyn. powiel.).
9. Teresa Iglikowska, Halina Kurkowska: „Mały słownik frazeologiczny”. Zeszyt 1 (*czas, przestrzeń, liczba, stopień*), oprac. Halina Kurkowska, Warszawa, SKiJPdc UW, 1966, s. 110. (Maszyn. powiel.).
10. Teresa Iglikowska: „Materiały do lektoratu języka polskiego”; cz. II, Warszawa, SJKPdc UW, 1958, s. 59 (przy współpracy Hanny Ładyki).
11. Lidia Kacprzak: „Mówimy po polsku o problemach społeczno-politycznych. Wybór tekstów”. Warszawa, SKiJPdc UW, 1966.
12. Lidia Kacprzak, Cezary Rowiński: „Wybór tekstów na użytek lektoratów języka polskiego dla cudzoziemców”; cz. II, Warszawa, SJKPdc UW, wyd. I 1964; wyd. II 1966, s. 387.
13. Stanisław Karolak, Danuta Wasilewska: „Učebnik pol'skogo jazyka” Warszawa, WP, wyd. I 1962, zeszyt 1—7; wyd. II 1964; wyd. III 1966, zesz. 1—9, plus komplet płyt.
14. Jan Kulak, Władysław Łaciak, Ignacy Żeleszkiewicz: „Język polski. Skrypt dla cudzoziemców”, Łódź, cz. I 1963; cz. II 1964; potem jako całość: wyd. II 1965; wyd. III i IV 1966, s. 358, PWN.
15. Halina Kurkowska, Eugenia Sowińska: „Materiały do lektoratu języka polskiego”; cz. III, Warszawa, SJKPdc UW, 1958, s. 99.
16. S. Kwaśnik, M. Nowakowska: „Chemia dla cudzoziemców”; cz. I, Łódź, UŁ, 1964.
17. Anna Laskierowa, Jadwiga Wencłowa, Michalina Wiśniewska-Mync: „Ćwiczenia wdrażające dla cudzoziemców”, Łódź, UŁ 1966, s. 186.

18. „Matematyka dla cudzoziemców”. Praca zbiorowa, Łódź, UŁ, 1965.
19. Marian Mazarent: „Fizyka. Skrypt dla cudzoziemców”, Łódź, UŁ, 1964 s. 337 (Maszyn. powiel.); wyd. II popr. i poszerz. 1966, s. 416.
20. Jerzy Morawiec: „Geometria dla cudzoziemców”, Łódź, UŁ, 1964.
21. Jadwiga Osiak: „Słownik polsko-wietnamski do skryptu J. Kulaka, W. Łaciaka, I. Żeleszkiewicza: *Język polski (dla cudzoziemców)*”, Łódź, PWN, 1966, s. 181.
22. Cezary Rowiński: „Wybór tekstów na użytek lektoratów języka polskiego dla cudzoziemców”; cz. I, Warszawa, UW, wyd. I 1964; wyd. II 1967, s. 257.
23. Kazimierz Rymut: „Język polski dla cudzoziemców. Wybór tekstów”. Kraków, AGH, 1967, s. 112.
24. Mieczysław Szymczak: „Materiały do lektoratu języka polskiego”; cz. I, Warszawa, UW, wydania: 1958, 1961, 1965, s. 160.
25. Mieczysław Szymczak: „Materiały do lektoratu języka polskiego”; cz. I—*Słownik polsko-angielski i polsko-niemiecki*, Warszawa, UW, 1963, s. 124.
26. Janina Wójtowicz, Leszek Szkutnik: „Gramatyka polska w dialogach (skrypt dla cudzoziemców)”, Warszawa PWN, 1969, s. 427.

B) PODRĘCZNIKI DO NAUCZANIA JĘZYKA POLSKIEGO WYDANE ZA GRANICĄ

27. M. Corbridge-Patkaniowska: „Teach Yourself Polish”, London (1948, 1957; seria: „Teach Yourself Books”).
28. T. Dombek: „Učebnik po polski ezik”, Sofia, 1961.
29. V. Falkenhahn, W. Zielke: „Lehrbuch der polnischen Sprache”, Berlin—Leipzig; cz. I 1951, cz. 1954.
30. G. Gunnarson, J. Trypućko: „Polsk for nyböjare”, Uppsala, 1947.
31. M. Kolaja: „Mluvnice a učebnice jazyka polskeho”, Praha 1947.
32. M. Kopecký, M. Kulošova, K. Oliva: „Polština pro samouku”, Praha 1963.
33. J. Krotovskaja, B. Goldberg: „Praktičeskij učebnik pol'skogo jazyka”, Moskva; wyd. I 1955; wyd. II 1959, s. 417.
34. T. Kovas: „Učim se polsky”, Praha 1947—1947.
35. M. Patkaniowska: „Essential of Polish Grammar, The Polish Library”, Glasgow 1944.
36. G. Piekut: „Corso di lingua polacca”, Roma 1954.
37. W. Reinholz: „Wir lernen polnisch sprechen”, Zwickau 1967 (plus płyta).
38. D. Šabo, G. Kerénji, I. Versanyi: „Lengyel nyelvkönyv tanfolymok és magnatanulok számára”, Budapest 1958.
39. I. Šaunova: „Jazyk polský”, Praha 1958.

C) ROZMÓWKI POLSKIE

40. F. Buffa, A. Sobierajska, Z. Sobierajski: „Konversačna priručka polštiny”, Bratislava 1958.
41. E. Daum, „Sprachführer Deutsch-Polnisch”, Leipzig 1963.
42. A. Malek: „Česko-polské rozhovory”, Praha 1956.
43. K. Oliva: „Čech v Polsku. Brána jazyku”, Praha 1949.
44. A. Platkow: „Comment le dire en polonais?”, Warszawa 1960.
45. E. Rechtsiegel: „Deutsch-polonisches Gesprächsbuch”, Halle 1962, Leipzig 1962.
46. B. Retman, R. Retman: „How to say it in Polish?”, Warszawa 1959, 1966, 1967.

47. „Polski, English, Francais” — „Teksty równoległe pol., ang., franc. Potoczne rozmówki. Everyday phrases. Expressions usuales”, Warszawa 1964.
48. P. Sobolewski: „Kak eto skazat' po polski?”, Warszawa 1961, 1963.
49. J. Turczyński: „Wie sagt man es polnisch?”, Warszawa 1959, 1963, 1966, 1967.
50. S. Walewski: „Polnisch. Sprachführer”, Köln — Marienburg 1962.
51. I. Veršányi: „Lengyel tarsalgási zsebkönyv”, Budapest 1959.

Theodor Bešta

PIĘĆ LISTÓW ZYGMUNTA MIŁKOWSKIEGO (T. T. JEŻA)
DO JANA BAUDOUINA DE COURTENAY

1.

8/4 82 Paryż
63 rue M. le Prince

Szanowny Profesorze,

Co sobie myślicie o mnie! Obdarzyliście mnie rzeczami takimi cennymi, ja zaś ani Wam za upominki dziękuję, ani też śpieszę z dotrzymaniem przyrzeczenia, tyczącego się fotografii. Nie moja w tym wina. Fotografii nie posiadałem, a zatem posłać onej nie mogłem. Przed paru dopiero dniami przysłano mi kilka egzemplarzy z Warszawy. Dołączam więc jeden do niniejszego, a do posyłki tej dodaję serdeczne, bardzo serdeczne podziękowania za książki i broszury któremi mnie obdarzyć raczyliście, a w których złożyliście dowody wiedzy waszej i pracy naukowej. Czém się Wam odwzajemnię za to? — Pracami mojemu? Czém są one w porównaniu z Waszą?... Przytem, nie mam nic. Stosunek mój do wydawnictw jest taki, że często się zdarza, iż utwór własny widzę póty, póki rękopis w rękach moich pozostaje. Pozostaje mi przeto jeno sposób podziękowania gołosłownego. Przesyłam też Wam takowe. Przyjąć je raczcie dobrém sercem.

Nie bardzo pewny jestem adresu waszego. Widziałem się niedawno z prof. Léger i ten powiedział mi, że pisać do Was należy do Lipska, *poste - restante*, że przebywacie w Lipsku z Panią waszą. Rzyżuję przeto, spodziewając się, że zawiadomicie mnie o otrzymaniu niniejszego.

Dla Pani waszej załączam pozdrowienia uprzejme, Was zaś proszę, ażebyście przyjąć chcieli wyznanie szczerego a głębokiego szacunku, z jakim dla Was, Szanowny Profesorze, pozostaję

śluga powolny
Z. Miłkowski

2.

2/3 83 Genèva
19 chemin Sautter

Szanowny Profesorze,

Wielkiego doznałem wzruszenia, gdym się spotkał z pracą Waszą w „Ognisku”. Dziękuję Wam za nią z serca całego. Wyświadczyliście mi i zaszczyt i przysługę koleżeńską, nie mówiąc już nic o wielkiej wartości opracowania, brzemienneho korzyściami dla czytelników.

Byłbym z pisaniem do Was pospieszył wcześniej, ale bałamucity mnie wiadomości, jakie po dziennikach spotykałem, o przeniesieniu Was na katedrę filologii do Dorpatu. A przytem choróbsko mnie napadło. Otrząsnąłem się jednak z niemocy i powracam powoli do zajęć.

Panna Antonina (córka moja) którąście w Paryżu poznali, zaczęła nieco o wasz fach, Profesorze Szanowny. Dostała posadę we Francji; została profesorem w Lyceum żeńskim w Lyonie i wykłada Grammatykę historyczną języka francuskiego. Jest to Lyceum świeżo założone i wystawione na wściekle ze strony duchowieństwa ataki. Zdaje się atoli, że „większy pan Bóg aniżeli pan Rymsza” i edukacja kobieca we Francji wyjdzie zwycięsko z walki z księżmi.

Raczej, Sz. Profesorze, Pani waszej uszanowanie moje oświadczyć.

Raz jeszcze dziękuję i, zsyłając Wam pozdrowienia uprzejme, zsyłam oraz wyznanie szacunku rzetelnego, jakim dla Was Szanowny Profesorze, przejętym jest

Z. Milkowski

3.

7/5 83 Genève
chemin Sautter

Szanowny Profesorze,

Dni temu dwa otrzymałem list wasz, dziś kartkę. Winszuję sobie, że się z odpowiedzią na list wstrzymałem, albowiem odpowiedzieć mogę zarazem i na list, i na kartkę. Zaczynam od tej ostatniej. Adres od młodzieży polskiej z Kazania doszedł rąk moich i podziękowanie za adres ten przestałem na ręce Świętochowskiego. Nie miałem sposobu innego. Na adresie nie znalazłem adresu, musiałem więc się uciec do drogi pośredniej. Widocznie podziękowanie w Warszawie ugrzęzło. Przewidując, że coś podobnego nastąpi, jeżeli nie co do adresu z Kazania, to co do innych, ogłosiłem w Krakowie podziękowanie ogólne p.t.: „Odpowiedź Zta Milkowskiego na adresy młodzieży polskiej”. Broszurę tę rozdaje w Krakowie Czytelnia akademicka. Do niej młodzież kazańską po odpowiedź odsyłam. Was zaś, Szanowny Profesorze, upraszam, ażebyście odemnie młodym moim spółziomkom w Kazaniu serdecznie podziękowali.

Z listu waszego podnoszę potwierdzenie wiadomości, którą powziąłem był z gazet: o wezwaniu Was do Belgradu. Bardzo mi się to podobało i bardzo bym pragnął, ażeby rzecz do skutku przyszła. Wydaje mi się, że Belgrad byłby wdzięcznym dla prac waszych polem, nie dlatego może, iżbyście w bibliotece tamtejszej i w zbiorach akademicznych znaleźć mogli zasobów dużo, ale dla tego iżbyście się znaleźli w punkcie środkowym, w którym się krzyżują narzecza południowo-słowiańskie, bardziej — o ile ja profan o tém sądzić mogę — do mowy pierwotnej słowiańskiej, aniżeli narzecza zachodnie i północne, zbliżone. Mielibyście do studiowania językową księgę natury, luboć i, co się ksiąg pisanych tyczy, nie doznalibyście braku wielkiego, zwłaszcza że księgozbiory belgradzkie dopełniają się nowosadzkiemi i zagrzebskiemi. Czego nie ma w miejscu jednem, znajdzie się w drugim. Do tego dodać jeszcze i tę okoliczność należy, że teka ministerstwa oświaty spoczywa obecnie w rękach Stojana Nowakowicza, człowieka światłego i szczerze oddanego sprawie postępu. Takim znałem go przed laty — kiedy był jeszcze

nauczycielem w gimnazjum belgradzkim: wątpię ażeby się zmienił. Oby się tylko nie zmieniło ministerstwo! — w Serbji bowiem — o ile się o tém z gazet dowiedzieć można — panują w chwili obecnej prądy, zamęczające wewnętrzny a tak do pracy naukowej potrzebny spokój. W tej wszakże chwili stronnictwo rządowe jest tam górą: spodziewać się przeto należy, że gdyby się sprawa wasza, Sz. Profesorze, w ten rozstrzygnęła sposób, iżbyście katedrę w Belgradzie zajęli — sprawowanie obowiązków waszych rozpoczniecie pod skrzydłem Nowakowicza.

Zyczę Wam tego z serca całego.

A do życzenia dołączam, wraz z uprzejmém od żony mojej i odemnie dla Sz. Państwa obojga pozdrowieniem, serdeczne, Waszej, Szanowny Profesorze, dłoni uściśnienie.

Stuga powolny

Z. Milkowski.

4.

4/10 83 Genève
19 chemin Sautter

Szanowny Profesorze,

Szkoda, żeście się z Belgradem nie ułożyli. Mnie się zdaje, iżbyście mieli tam więcej resursów naukowych, aniżeli w Dorpacie, resursów na pniu, że się tak wyrażę, tych jakiebyście znaleźli w ustach ludu. A i na książkowych by Wam nie zbrakło, wzięwszy mianowicie na uwagę łatwość komunikacji z miastem takim jak Wiedeń, a także bliskość Zagrzebia. Pocieszam się jednak nadzieją, że kwestii tej można uważać za niezamkniętą. Co nie doszło dziś, dojdzie może jutro. Zaszła tam zmiana ministerstwa — zmiana polityki — i wytworzyła zapewne stan niepewny, po przemianieniu którego wypłyną na wierzch potrzeby naukowe, rozumiane bardzo dobrze przez takich, jak Nowakowicz ludzi. Rzecz jeno ciekawa, jakie Nowakowicz wobec nowego rządu stanowisko zajmie. Risticz — radykał — uchodzi za stronnika polityki rosyjskiej. Nowakowicz, wówczas kiedym go znał, nie należał do obozu tego. Ale działo się to lat temu osiemnaście. Ludzie się zmieniają.

Ciesz się, że się, Szanowny Profesorze czujecie w Dorpacie lepiej, aniżeli w Kazaniu. Nie dziw. Zawsze to — Europa już.

Trochę kłopotliwe stawiacie mi zadanie, żądając abym Wam rekomendował którą z prac moich do Chrestomatii. Autor jest najgorszym utworów własnych sędzią. Posłużę się przeto opinią obcych i wskażę Wam trzy rzeczy do wyboru: 1-o *Mokryna*, powiastka, drukowana w kalendarzu Jaworskiego za rok 1865 — nie posiadam jej, przypominam sobie jeno, że roi się błędami drukarskiemi i do przedruku wymagałaby korekty autorskiej; 2-o „Czarnogórka”, tłumaczona na język francuski i przedrukowywana dwa razy, z francuskiego tłumaczona na niemieckie w *Deutsche Rundschau* i *Septemberhefte*, z niemieckiego dostała się do Moskowskich *Wiedomostiej* — tę mam po polsku i mogę ją, gdy zażądacie, poprawić i do Dorpatu posłać. Trzecia rzecz nie wyszła jeszcze, ale wyjdzie w *Przeglądzie Kucharskim*, który ma się ukazać w Warszawie. Tytuł: „Co Turcy jadają”. Jest to nie powiastka, ale opowiadanie w sposobie pamiętnikowym, rzecz literacka, która — jak mi się zdaje — udała mi się. Macie, mój Profesorze,

do wyboru. Może by się robota ostatnia nadała do urozmaicenia treści chrestomatji. Każda z prac wymienionych nie przechodzi objętości dwóch arkuszy druku.

Co do Wnuka Chorążego* posłałbym go Wam, gdybym posiadał więcej, jak jeden egzemplarz, który dostałem dwa tygodnie temu. Kiedy Karłowicz o powieści tej pisał, wówczas jam jej nie czytał jeszcze. Karłowicz jest obecnie gościem moim — gościem bardzo miłym. Przywiózł do Genewy córkę, w celu zapisania jej do szkół tu-tejszych. Ma zamiar w roku przyszłym przenieść się do Genewy, dla edukacji synów. Niewypowiedzianie rad jestem znajomości, jaką z nim zawarłem.

Zona moja za pamięć Wam dziękuje i zasyła pozdrowienia jaknajbardziej uprzejme. Córka od 1 października rozpoczęła w Lyonie wykłady. Francja się uczy serjo, a że ją serjo nudzi, więc dopuszcza się niekiedy gamineryj. Wygwizdała króla hiszpańskiego.

Zasylam Wam, Szanowny Profesorze, jaknajserdeczniejsze dłoni uściśnienie.

Sługa powolny

Z. Miłk.

5.

26/4 99 Genève

Szanowny Panie Profesorze,

Wybaczcie mi długą zwłokę w przesłaniu Wam podziękowania za łaskawe obdarzenie mnie sporą prac waszych kolekcją. Chciałem je pierwszej przeczytać a potem podziękować. Owóż to mi się nie udało. Tak zniedołężniałem, że dotychczas przeczytać nie był w stanie. Pośpieszam więc z podziękowaniem i z przesłaniem pozdrowienia Wam, Szanowni Państwo, oboje. — Z. Miłk.

Redakcja „Poradnika” wdzięczna jest Prof. Beście za oddanie do jej dyspozycji pięciu listów Zygmunta Miłkowskiego do Jana Baudouina de Courtenay. Oglaszamy je opierając się na maszynopisach, od których rękopisy mogą się w pewnych szczegółach różnić.

* Drukowany u Gebethnera i Wolffa w Warszawie.

Michał Jaworski: *Nauczanie gramatyki języka ojczystego w szkołach podstawowych: studium porównawcze (na podstawie materiałów z Polski, ZSRR, Czechosłowacji, NRD, NRF, Austrii, Francji, Belgii i Szwajcarii)*. Warszawa PZWS (1969); str. 212.

Ukazanie się książki M. Jaworskiego pod wymienionym (choć nieco przydługim tytułem) trzeba uznać za wydarzenie wielkiej wagi, gdy chodzi o możliwość orientacji, co się dzieje w szkołach Europy na jednym z ważnych odcinków frontu dydaktycznego, jakim jest nauczanie gramatyki języka ojczystego. Dawno minęły czasy, gdy generał Jezuitów, któremu swego czasu podlegała większość szkół, spoglądając na kalendarz i zegarek, mógł określić z dużą dokładnością, co się w poszczególnych szkołach dzieje. Szkolnictwo w poszczególnych krajach uległo swoistemu rozwojowi niezależnie od siebie, w różnych warunkach politycznych, wpływających na charakter nauczania powszechnego, wśród różnych prądów językoznawczych i pedagogicznych. Skrzyżowanie oddziaływania tych i innych czynników z natury rzeczy powinno dać kalejdoskopową wprost różnorodność sytuacji w szkolnictwie, mogącą przyprawić o zawrót głowy jej obserwatora. Jeżeli mimo to można wyłowić wiele elementów wspólnych i sytuacji zbieżnych, już samo to stanowić może nie lada przyczynek do badań nad zintegrowaniem kultury europejskiej.

Niezwykłość tej publikacji uwydatnia fakt, że autor nie miał tu zbyt wielu wzorów. W literaturze metodycznej polskiej można tu wymienić zaledwie kilka artykułów Z. Klemensiewicza z serii „Nauka gramatyki języka ojczystego za granicą”, drukowanych w „Języku Polskim” w r. 1927, a więc dziś już w znacznej mierze zdezaktualizowanych. Nie lepiej przedstawia się i sytuacja za granicą, jeżeli autor może się powołać na jedną tylko publikację szwajcarską (R. Dottrens: „Elaboration et promulgation des programmes scolaires”. Genève 1958), która omawia „pokrótce zakres i progresję materiału nauczania gramatyki w szkołach krajów europejskich” (s. 8).

Podstawą do badań porównawczych były tu plany i programy nauczania obowiązujące w różnych krajach, podręczniki szkolne, artykuły metodyczne z czasopism, a także w dużej mierze — co jest tu istotne — własna obserwacja lekcji nie tylko w Polsce, ale też w ZSRR, Austrii i Szwajcarii. Materiały analizowane są z uwzględnieniem ich dynamicznego rozwoju, z uwzględnieniem sytuacji dawniejszej i wido-ków na przyszłość. Ze względu na małą dostępność tych źródeł w Polsce, informacje autora są niekiedy u nas jedyne i niezastąpione.

W swojej charakterystyce porównawczej europejskiego nauczania gramatyki autor omawia: 1) rozwój poglądów na znaczenie i cele nauczania gramatyki ze szczególnym rozwinięciem, dotyczącym współczesności, 2) treść nauczania gramatyki w szkołach podstawowych, zarówno w ujęciu ogólnym, problemowym, jak też w opisie szczegółowym, dotyczącym struktury programów w poszczególnych krajach uwzględniającym też porównawczo poszczególne działy gramatyki, 3) organizację i metody nauczania gramatyki, z uwzględnieniem metod najnowszych z podaniem przykładów. Tak więc książka stosunkowo niewielka jest wprost nabita informacjami, a jednak przejrzysta, nie gubiąca się w gąszczu spraw. W dodatku autor nie poprzestaje na samym opisie, lecz wyciąga z niego wnioski do wykorzystania w szkołach polskich, wyodrębnia też nasuwające się problemy, wymagające badań uzupełniających i szerszego ich rozpatrzenia.

Wspomniany już charakter mozaikowy sytuacji w nauczaniu gramatyki wynika z wielu przyczyn. Przede wszystkim wchodzi tu w grę różnica języków. I tak, subtelności metodyczne w używaniu różnego typu artykułów (rodzajników) mają zastosowanie jedynie w nauczaniu języków, które się nimi posługują. Zawilości (głównie ortograficzne) koniugacji francuskiej w małym stopniu są porównywalne ze stonkowaną prostotą koniugacji polskiej. A znów aspektologia polska (do której wystarczającego opracowania jeszcze daleko) w niewielkim tylko zakresie znajduje odpowiedniki w językach niesłowiańskich. Do tego dołączają się zawilości ustrojowe samych szkół i polityki oświatowej w różnych krajach, tak że nie jest łatwo określić, jakie typy szkół wzajemnie sobie odpowiadają. Są też trudności w porównywaniu faz ewolucyjnych szkolnictwa. Inna jest sytuacja w szkole o nie zmienianych tradycjach, a inna w świeżo zreformowanej. I szkolnictwo ma swych konserwatystów i progresistów. Autor słusznie też wiąże treści nauczania ze sprawą jego celów. Inaczej wygląda sytuacja gramatyki, gdy jest ona tylko przydatkiem do praktycznych ćwiczeń językowych, a inaczej, gdy szkoła usiłuje ją ująć w układ systematyczny. I jeszcze inna jest rola gramatyki, gdy nad nią górują w dziedzinie celów nauczania sprawy ortografii. Wchodzi tu też w grę panujące doktryny lingwistyczne, jak i pedagogiczne. Uwzględnienie wszystkich tych czynników w omawianej pracy przyczynia się w wybitnym stopniu do wzbogacenia jej treści.

Nie sposób tu omawiać szczegółowo wszystkich poruszonych spraw. Każda niemal strona o czymś informuje, stawia jakieś zagadnienie, prowokuje do dyskusji nie tyle krytycznej, ile rozwijającej dany problem. Skoncentruję się tu głównie na wnioskach, jakie autor wysnuwa ze swych rozważań.

Jednym z takich wniosków, jeśli chodzi o europejskie nauczanie gramatyki, jest niemal powszechnie przyjęty prymat teorii nad praktyką. „Wszędzie bowiem stawia się dziś przed nauczaniem gramatyki w szkołach podstawowych zadania praktyczne, polegające na uświadamianiu młodzieży norm językowych, na wdrażaniu jej do poprawnego i sprawnego posługiwania się językiem” (s. 188). Przewyciężony staje się też sceptycyzm, cechujący niektórych dawniejszych metodyków, dotyczący wpływu teorii na doskonalenie praktyki. Wąski praktycyzm, raczej jako „zjawisko anachroniczne i stopniowo zanikające” (s. 188) „występuje obecnie tylko w tych krajach, gdzie istnieje dualizm w strukturze szkolnictwa i gdzie stawia się odmienne zadania przed szkołami ludowymi, o niższym poziomie nauczania i przed szkołami o charakterze raczej elitarnym” (s. 188). Nawet dla celów praktycznych „niezbędne są — zdaniem większości metodyków (...) rozsądnie dobrane, rzetelne wiadomości teoretyczne o języku” (s. 188).

„Najbardziej istotne są różnice między poszczególnymi programami i podręcznikami szkolnymi oraz publikacjami metodycznymi, jeśli chodzi o zagadnienie formy i funkcji zjawisk językowych” (s. 188). Opis zewnętrzny form jako łatwiejszy do uchwycenia znalazł się wcześniej w nauczaniu szkolnym niż opis ich funkcji. Uświadomienie tej sprawy przez niektórych metodyków, nie mające oparcia w pogłębionych badaniach naukowych, prowadzi do wulgaryzacji i ujęcia powierzchownego, co znów wywołuje wtórnie tendencję do ucieczki od ujęcia języka w jego relacjach epistemologicznych i prakseologicznych, cechującą niektóre kierunki strukturalne w lingwistyce. Od siebie dodam, że jeśli dziś słowotwórstwo — po pracach W. Doroszewskiego — jest nie do pomyślenia w oderwaniu od funkcji poszczególnych formantów, to fleksja nawet w nauczaniu uniwersyteckim rzadko wykracza poza przegląd samych szkieletów formalnych, w oderwaniu niemal całkowitym od funkcji poszczególnych form, zwłaszcza gdy chodzi o deklinację. Zdaniem autora, oba skrajne stanowiska ujmowane jednostronnie, zarówno skrajny formalizm, jak i skrajny, a zwłaszcza zwulgaryzowany funkcjonalizm „nie wydają się słuszne. Pierwsze z nich bowiem, ograniczające się do rozpatrywania form językowych i wewnątrztematowych relacji między nimi nie sprzyja kształceniu mowy uczniów

jako narzędzia poznania rzeczywistości i środka porozumienia społecznego. Drugie bywa źródłem zamętu pojęciowego i wynikających stąd poważnych trudności dydaktycznych. Dlatego też za najbardziej racjonalne i dydaktycznie uzasadnione należałoby uznać te metody wyjaśniania faktów językowych, które polegają z jednej strony na stałym ukazywaniu związków między wyrazami, formami i konstrukcjami gramatycznymi a ich funkcjami znaczeniowymi, a z drugiej strony — na wyraźnym odróżnianiu pojęć gramatycznych i ontologicznych. Przy tym stanowisku metodologicznym możliwe jest w znaczeniu gramatyki zarówno wyjście od formy zjawisk językowych, jak i w pewnych wypadkach od ich funkcji, zwłaszcza w klasach wyższych, gdy uczniowie już uświadamiają sobie dobrze podstawowe kategorie ontologiczne" (s. 189).

Inną godną uwagi obserwacją autora jest stwierdzenie faktu coraz większego wiązania gramatyki ze stylistyką w nauczaniu szkolnym. „Te tendencje, uzasadnione teoretycznie, a jak najbardziej słuszne pod względem dydaktycznym, stosunkowo słabo przejawiają się w polskich szkołach. Toteż byłoby pożyteczne wyzyskanie w tej dziedzinie zagranicznych doświadczeń i konkretnych wzorów metodycznych z uwagi na to, że celem kształcenia językowego w szkole jest nie tylko poznanie przez młodzież struktury języka i norm poprawnościowych, ale także wyrobienie sprawności mowy uczniów, czemu służy m.in. analiza słownikowych i gramatycznych zasobów języka z punktu widzenia ich przydatności dla celu i charakteru wypowiedzi, a więc analiza stylistyczna" (s. 189—190).

Autor stwierdza też fakt znacznych zmian w ostatnich latach w zakresie układu treści nauczania gramatyki. „Zmiany te polegają na ściślejszym dostosowaniu materiału nauczania do faz rozwoju umysłowego dzieci, na wprowadzeniu koncentrycznego układu materiału nauczania w całej szkole podstawowej na miejsce dawnego układu liniowego oraz na powiązaniu ze sobą na poszczególnych stopniach nauczania wiadomości z różnych działów gramatyki (...) Jest to dowodem postępu w dydaktyce gramatyki, gdyż kompleksowe, a nie izolowane omawianie zjawisk językowych jest uzasadnione nie tylko teoretycznie, ale także dydaktycznie, zapobiega bowiem nadmiernemu rozdrobnieniu materiału i w rezultacie sprzyja ekonomii nauczania" (190).

Gdy chodzi o metody nauczania gramatyki, oddziałują na nie w dalszym ciągu dwie klasyczne teorie pedagogiczne, a mianowicie system herbartowski i system szkoły aktywnej. W wielu krajach „organizację i metody nauczania gramatyki charakteryzuje synteza wartościowych elementów obu klasycznych systemów, herbartowskiego i szkoły aktywnej. Z jednej strony kładzie się nacisk na aktywizację myślenia uczniów i na możliwie samodzielne zdobywanie przez nich wiedzy, z drugiej zaś strony na systematyczność nauczania, na uporządkowanie wiadomości teoretycznych" (s. 191).

Gdy chodzi o fonetykę, „polski program w tej dziedzinie bynajmniej nie wyróżnia się dodatnio. Choć jest obszerniejszy, nie umożliwia jednak uczniom lepszego, teoretycznego rozeznania w zagadnieniach głosowni" (s. 111). Od siebie dodam, że jego zasadniczą wadą jest brak spójności. Jeżeli np. zachowuje się opozycję między spółgłoskami dźwięcznymi i bezdźwięcznymi, a pomija się ich zróżnicowanie pod względem miejsca artykulacji, na jakiej podstawie można mówić uczniom, że dźwięcznemu *b* odpowiada bezdźwięczne *p*, a nie *k* czy też *s*? Cały punkt programowy, dotyczący upodobnień, jest więc zawieszony w próżni i przyswojony być może w tych warunkach tylko werbalnie.

W dziedzinie słowotwórstwa autor stwierdza znaczny postęp, gdy chodzi o program polski. „Obecnie nauczanie słowotwórstwa, oparte na nowoczesnych podstawach metodologicznych, ukazuje uczniom przebieg procesów słowotwórczych, strukturalną i semantyczną funkcję formantów i dzięki temu umożliwia im wniknięcie w strukturę wyrazu i jego znaczenie etymologiczne" (s. 117). „Zmiany te dokonały

się głównie pod wpływem teoretycznych prac W. Doroszewskiego" (s. 116). Co więcej „nowa metoda analizy słowotwórczej wyrazów oparta na pracach teoretycznych W. Doroszewskiego, która się stała powszechna w polskiej dydaktyce gramatyki zaczyna zyskiwać uznanie także za granicą" (s. 118).

Części mowy wyróżniane są w nauczaniu szkolnym w różny sposób, nie zawsze konsekwentnie. Szczególny chaos panuje, gdy chodzi o ich definicje. Zwłaszcza w polskim programie i podręcznikach „charakterystyka części mowy jest (...) pobieżna, niekiedy nawet powierzchowna (...). Wiadomości o częściach mowy są opracowane w obecnie obowiązujących polskich podręcznikach nie tylko w sposób mniej dokładny, ale w wielu wypadkach także mniej pod względem dydaktycznym przemyślane niż w wielu podręcznikach zagranicznych. Pożądana jest więc odpowiednia korekta naszych programów szkolnych" (s. 124—125).

„Oceniając materiał nauczania z zakresu fleksji w polskich podręcznikach z punktu widzenia czysto teoretycznego, trzeba przyznać, że prezentuje się on gorzej niż w programach radzieckich czy czechosłowackich. Występują w nim bowiem pewne luki, brak jest uszczegółowienia wielu pojęć, analiza form fleksyjnych jest często niedostatecznie precyzyjne lub nawet powierzchowne" (s. 127). Przy okazji chcę sprostować sugestię autora (s. 128), jakoby ja był zwolennikiem nawrotu do dawnego, bardziej szczegółowego nauczania deklinacji. Nie chodzi mi o zwiększenie liczby szczegółów, lecz o usensownienie nauczania deklinacji, dające się osiągnąć dopiero przez ukazanie motywacji repartycji końcówek. Inaczej bowiem samo ich wyliczanie będzie tylko obciążeniem pamięci, a nie uintensywnieniem myślenia naukowego.

Gdy chodzi o składnię, sytuacja jest tu wybitnie nie uporządkowana zarówno w szkołach polskich, jak i za granicą. „Jest to (...) w znacznej mierze odbiciem sytuacji panującej we współczesnym językoznawstwie, przemian metodologicznych, które w wielkim stopniu dotyczą składni. Pod wpływem tych przemian pozycja tradycyjnej nauki składni i jej wpływ na szkołę słabną coraz bardziej, ale nowy system teoretyczny i dydaktyczny, a raczej nowe systemy, dopiero się kształtują. Wskutek tego w programach i podręcznikach szkolnych obok pojęć i metod już ustabilizowanych w nauce znalazły się także treści niedostatecznie teoretycznie zbadane i nie przemyślane pod względem dydaktycznym. W wielu też wypadkach nowe pojęcia nie godzą się z pozostałymi, bardziej tradycyjnymi, co utrudnia, a niekiedy nawet uniemożliwia opracowanie konsekwentnego systemu nauczania składni" (s. 143—144).

To tylko niektóre podane przykładowo wnioski autora z jego analizy, jakże wiele dające do myślenia. Zwróciłbym dodatkowo uwagę na przejrzyste zestawienia tabelaryczne, zwłaszcza na porównawczy zestaw terminologii gramatycznej w różnych szkołach na s. 57—66.

Książka warta przeczytania i przemyślenia nie tylko ze strony metodyków nauczania. Wiele refleksji przysporzyć może ona i językoznawcom nie zajmującym się metodyką.

Jan Tokarski

Feliks Przyłubski: *Litery — nauka czytania i pisanie*. Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych. Warszawa 1969.

Opracowanie nowego elementarza należy uznać za przedsięwzięcie śmiałe i pozytywne. Stosowany dotychczas w szkole „Elementarz” M. Falskiego cieszy się, co prawda, zasłużenie bardzo dobrą opinią; nie znaczy to jednak wcale, że niemożliwe jest opracowanie jeszcze doskonalszego podręcznika. Ponad 50-letni okres podzi-

wiania niewątpliwych zalet „Elementarza” Mariana Falskiego nie wpłynął, zapewne, zbyt korzystnie na rozwój badań naukowych związanych z nauczaniem czytania i pisania. Myślę, że „Litery” Feliksa Przyłubskiego są próbą przewyciężenia zastojów w tej dziedzinie. Czy jest to próba udana? Odpowiedź na to pytanie nie może być jednoznaczna. Trzeba bowiem spojrzeć na ten elementarz z różnych punktów widzenia, co trudne jest dla jednego człowieka. Pragnę przede wszystkim zwrócić uwagę na zagadnienia językowe. Nie mogę jednak powstrzymać się od wypowiedzenia przedtem z punktu widzenia nauczyciela kilku uwag innej natury.

1) Część wstępna elementarza, wprowadzająca dziecko do nauki pisania jest opracowana pomysłowo. Ilustracje są dobre, a znajdujące się pod nimi schematy w kształcie ramek sugerują nauczycielowi wprowadzenie nowych wyrazów i ich podział na sylaby.

2) Godne uwagi i sprawdzenia w praktyce nauczania jest jednocześnie wprowadzenie liter pisanych i drukowanych oraz wielkich i małych.

3) Czytanki są poprzedzone ćwiczeniami słownikowymi, co niewątpliwie ułatwia nauczanie.

4) Wartość czytanek nie jest jednakowa. Najczęściej są one dobre (np. na stronie 71 *Okropne rzeczy*). Tematyka jest różnorodna, związana zarówno z miastem, jak i ze wsią. Niech świadczą o tym niektóre tytuły: *Pole, Kino, Rybacy, Robota, Kolacja, Klasa, Wystawy sklepowe, Fabryka, W koszu straszy, Adamowi rosna wąsy, Jak Adam ze starych zrobił nowe buty, W samolocie, W Poznaniu, Dlaczego lampa się świeci* i inne.

5) Pewne zastrzeżenia budzą czytanki: *Wystawy sklepowe* i *Inny sklep*, które (wraz z ilustracjami) pokazują przykre dla większości obywateli niedomagania w naszym kraju. Nasuwa się pytanie: czy tak nieznośne zjawiska jak długie wyczekiwanie w kolejce na kupno butelki mleka lub przewlekłe remontowanie lokali sklepowych należy pokazywać dzieciom I klasy jako normalny stan rzeczy?

6) Obraz wyczekiwania w kolejce na butelkę mleka zestawiony z cyklem czytanek o luksusowej wycieczce trojga dzieci samolotem do Poznania nie sprawia dobrego wrażenia. Chyba nikogo nie trzeba przekonywać, że większość dzieci może jedynie pomarzyć sobie o wycieczce u boku swego tatusia luksusowym samolotem do Poznania. Oswajanie dzieci z kontrastami społecznymi chyba nie jest społecznie pożyteczne.

7) Cały niemal elementarz, z wyjątkiem bodaj paru tylko czytanek, pozbawiony jest treści patriotycznych. Nie dostrzega się w nim wyraźnych znamion polskości. Gdyby przetłumaczyć go na jakikolwiek język i zmienić kilkanaście nazw, to prawdopodobnie trudno by było domyślić się, że powstał on w Polsce, a nie np. na Tajwanie.

Pod względem językowym ocena elementarza nie może być jednoznaczna. Nasuwa on bowiem wiele uwag zarówno pozytywnych, jak i krytycznych. Słownictwo jest nieco zachwaszczone wyrazami obcego pochodzenia. Na pewno tekst byłby ładniejszy i bardziej swojski, gdyby wyeliminować z niego takie wyrazy, jak: *furman, remanent, tresura* itp. Jest to przecież tekst dla dzieci najmłodszych. Wyraz *doktor* używany jest konsekwentnie w znaczeniu «lekarza». W tekście zbyt mało jest wyrazów zdrobniałych. Rzadko występują wyrazy typu: *kotek, myszka, rybka, Adaś*, natomiast *kot, mysz, ryba, Adam* i inne często się powtarzają. Najbardziej razi używanie wyrazu *matka* zamiast *mama* lub *mamusia* („Natałka da matce te polne maki”). W czytankach występuje wiele cech stylu potocznego. Zamierzenia autora były zapewne dobre. Funkcja elementów stylu potocznego może być doniosła i pożyteczna. Właściwie dobrane wyrazy i zwroty potoczne ożywiają i zabarwiają język literacki. Wyrażenia potoczne mogą należeć do plastycznych i barwnych środków stylizacji. Przykładem jest choćby czytanka *Adam gra* (s. 51), w której zdanie: „Kot kiwa ogonem do taktu” wprowadza humor i swojską atmosferę.

Są, niestety, i niezbyt udane próby wprowadzania stylu potocznego. Oto przykłady: „Co masz zadane na jutro... Polski i rosyjski” (s. 65); „Lilka ma bilet na Dylu, dylu na badylu” (s. 36); „Pilot zapuścił silniki” (s. 87); „Kto tu na górze pali ogień” (s. 89); „Ta fabryka robi motocykle” (s. 57).

Obok czytanek dobrych są takie, które w całości wzbudzają zastrzeżenia. Uważam, że czytanką *Robota* (s. 40) jest wyjątkowo nieporadnie opracowana. Oto jej tekst:

„Ale tu robota. Co robi tata? Co robi mama i Lila? A co robi Adam? Co robi Tola? Ona robi to, co brat”.

Trudno jest ułożyć czytankę dla dzieci, które nie znają jeszcze całego alfabetu. Myślę jednak, że w języku polskim jest znacznie więcej wyrazów, w których występuje spółgłoska *r*.

Bardzo wyraźnie występuje tu sprawa stosunku mowy do pisma. Autor kładzie nacisk na analizę głoskową, traktując literową pobieżnie. Ważną rolę przypisuje również sylabie. Widoczne to jest już na pierwszych stronach elementarza.

Nie można w procesie nauczania początkowego odrywać całkowicie pojęcia głoski od pojęcia litery bądź zwracać większą uwagę na głoskę niż literę. Dwa te pojęcia są ze sobą sprzężone. Postrzeżenia słuchowe i wzrokowe w wypadku zdobywania umiejętności pisania lub czytania podlegają integrującej funkcji mózgu. Można tu w ślad za Prof. Witoldem Doroszewskim powiedzieć: „trzeba nie tylko słyszeć, żeby rozumieć, ale i rozumieć, żeby słyszeć (...) trzeba nie tylko widzieć, żeby rozumieć (wiedzieć), ale także trzeba rozumieć (wiedzieć), żeby widzieć”¹.

Ażby dziecko zdobyło umiejętność wyodrębniania z potoku wrażeń dźwiękowych określonej głoski, musi przedtem zrozumieć, że dany dźwięk oznacza daną głoskę, musi utożsamić go z przechowywanym w pamięci wyobrażeniem. Poznawanie liter polega na ich skojarzeniu z odpowiednimi głoskami. Znać alfabet — znaczy tyle co mieć wyobrażenia słuchowe odpowiadające jego poszczególnym graficznym znakom. Ta sama litera może mieć zróżnicowane kształty. Jednakże w elementarzu najlepiej jest unikać wprowadzania wariantów graficznych. Uważam, że wprowadzenie w omawianym podręczniku litery *p* w kształcie tzw. *p* „pisanego” nie ułatwi pracy nauczycielowi. Przypisywanie zbyt ważnej roli sylabie nie jest uzasadnione przede wszystkim z tego powodu, że jej zdefiniowanie jest niezwykle trudne. Ponadto w procesie nauczania w klasach starszych występuje problem podzielności wyrazu nie tylko na sylaby, ale również podzielności słowotwórczej i ortograficznej. Nie znaczy to wcale, że nie należy wprowadzać w klasie pierwszej pojęcia sylaby.

Na zakończenie pragnę jeszcze raz podkreślić, że próba opracowania nowego elementarza jest przedsięwzięciem bardzo pożytecznym i cennym.

Alojzy Adam Zdaniukiewicz

NAUKA O JĘZYKU W NOWYM PODRĘCZNIKU JĘZYKA POLSKIEGO DLA KL. V SZKOŁY PODSTAWOWEJ

M. Nagajowa, A. Świerczyńska: *W naszej ojczyźnie. Podręcznik do nauki języka polskiego dla kl. V. Warszawa 1969; s. 390+2 nlb+8 rycin.*

Od roku szkolnego 1969/70 władze szkolne wprowadziły w kilku województwach naszego kraju tytułem eksperymentu nowy podręcznik do nauki języka polskiego w kl. V szkoły podstawowej.

¹ Witold Doroszewski: *Mowa a pismo*, „Poradnik Językowy” 1969, z. 4.

Jest to typ podręcznika całościowego do nauczania języka ojczystego, tzn. zawiera on materiał lekturowy, gramatyczny i ortograficzny oraz elementy samokształcenia przewidziane przez program na kl. V. Dotychczas w starszych klasach (V—VIII) szkoły podstawowej w użyciu były dwa odrębne podręczniki: jeden z wypisami fragmentów literackich i odpowiednim zasobem czytanek, drugi z materiałem do nauki języka¹.

Decyzja autorek o połączeniu obu głównych działów nauczania języka polskiego, tj. lektury i gramatyki w jeden podręcznik, wydaje się uzasadniona względami praktycznymi. W myśl bowiem zaleceń programu² nauczyciel może (i praktycznie tak czyni) na jednej lekcji łączyć kilka działów nauczania języka ojczystego, np. lekturę i gramatykę, stąd jeden podręcznik w pracy jest bardziej poręczny.

Interesować mnie będzie w omawianym podręczniku ujęcie działu nauki o języku. Nasuwające się tutaj spostrzeżenia zdecydowałem się podzielić na trzy grupy: 1. uwagi pozytywne dotyczące stanowiska autorek, 2. uwagi krytyczne, 3. uwagi dyskusyjne.

1. Jeśli mowa o podręczniku szkolnym, to na czoło wysuwa się pytanie: czy zawiera on w pełni materiał programowy? Odpowiedź na to pytanie w omawianym wypadku jest twierdząca bez żadnych zastrzeżeń. Autorki bowiem w dziesięciu rozdziałach podręcznika, odpowiadających dziesięciu miesiącom nauczania szkolnego, tak rozłożyły materiał gramatyczny i ortograficzny, przewidziany programem nauczania na kl. V, że odpowiada on aktualnie przerabianym fragmentom lekturowym i można go zrealizować na kolejnych dwóch lekcjach przeznaczonych zgodnie z programem (op. cit. s. 210) co tydzień na naukę o języku. Takie rozmieszczenie zagadnień językowych w podręczniku umożliwia i ułatwia realizowanie haseł programu bez ciągłego zagładania do niego po szczegóły.

Krytyczny stosunek autorek do haseł programu widoczny jest w sposobie rozplanowania odpowiednich zagadnień w podręczniku. Tak np. odstępują od tradycyjnego układu zastosowanego w programie: rzeczownik, czasownik i odpowiednio w składni: podmiot, orzeczenie na korzyść kolejności podyktowanej względami metodycznymi, odpowiadającymi właściwościom percepcyjnym ucznia: czasownik, rzeczownik i w składni: orzeczenie, podmiot. Dodatkowo zamieszczony temat: *Pisownia „nie” z czasownikami* (s. 112), który program przenosi do kl. VII (op. cit. s. 180) jest całkowicie uzasadniony spotykanymi w tym zakresie błędami uczniowskimi. (Jako hasło programowe *pisownia nie z czasownikami* wystąpiła już w kl. III.—por. *Program* s. 88).

Mówiąc o zawartości materiałowej podręcznika, podnieść trzeba także sprawę zamieszczenia tematów z działu ćwiczeń w mówieniu i pisaniu. Spotykamy bowiem w podręczniku wskazówki zarówno dla ucznia, jak i dla nauczyciela, dotyczące tego, jak robić sprawozdania z wycieczek, audycji radiowych i telewizyjnych, wystaw itp., jak opisywać krajobraz, postaci, obrazy itd., jak konstruować opowiadanie, jak streszczać — a więc całość zagadnień przewidzianych programem na kl. V. Nie pominięto zagadnień z dziedziny samokształcenia, toteż znajdujemy w podręczniku wiadomości, jak korzystać z katalogów bibliotecznych i jak szanować książkę (s. 318—19).

Nie wystarczy jednak odnotować tylko zamieszczenie tematów z różnych działów nauki o języku, trzeba także podkreślić, że w wielu działach materiał podano w układzie dotąd nie spotykanym bądź mało stosowanym. Tak np. w ćwiczeniach w mówieniu i pisaniu podsuwa się uczniowi ciekawe zwroty, wyrażenia i zestawie-

¹ Wyjątkiem jest kl. VI, gdzie od r. 1963 obowiązuje podręcznik łączny J. Dembowskiej, Z. Saloniego i P. Wierzbickiego zatytułowany „Świat i my”.

² Program nauczania ośmioklasowej szkoły podstawowej (tymczasowy), Warszawa 1963, s. 209—10.

nia do uwzględnienia, tak że już na tym etapie nauczania ćwiczenia słownikowe stają się stopniowo ćwiczeniami frazeologicznymi (por. np. s. 219, 227, 271 i in.). Materiał ortograficzny ujmuje się niekiedy tematycznie, np. pisownię wyrazów z *h* wiąże się m.i. z harcerstwem (s. 22, ćw. 1), zestawia się w ciekawe opozycje typu *może — morze* (np. s. 101, ćw. 5).

Wymienione wyżej zalety podręcznika stanowią o tym, że sprzyja on wyrabianiu w uczniach zdolności do samodzielnej pracy, co z punktu widzenia dydaktyki ocenić trzeba wysoko.

Na dwa aspekty trzeba jeszcze zwrócić uwagę. Autorki przejawiają wielką troskę o czystość i poprawność języka, co na tym stopniu nauczania języka ojczystego uznać trzeba za najważniejszy cel nauki języka³. Przestrzega się przed wielu obiegowymi błędami fonetycznymi, morfologicznymi i frazeologicznymi (zob. np. s. 65, 84, 186 i wiele in.). Można tylko nawiasowo dodać, że w uwadze na s. 36: „*Mów: sweter, litr, metr*” prawem serii godziło się podać też *wiatr* i *szewc*. W celu zapobiegania błędom językowym autorki wprowadziły do swojej książki specjalnego bohatera, Łazarkiewicza z utworu J. Korczaka (zob. s. 8), którego zadaniem jest przestrzegać i napominać. Zdanie Łazarkiewicza: „Czystość języka jest cnotą narodu” (ib.) mogłoby stanowić motto omawianego podręcznika.

Po wtóre zauważyć należy, że w związku z nauczaniem elementów fonetyki autorki zwracają baczną uwagę na poprawną wymowę pojedynczych głosek i grup spółgłoskowych, co pozostaje w ścisłym związku z troską o prawdziwą kulturę polszczyzny. Wymienić tu można ćw. 4, s. 32 (opozycja *trz — cz*), ćw. 5, s. 33 (opozycja *łowca-owca*), s. 65 (wymowa samogłosek nosowych).

2. Z uwag krytycznych ośmielam się podać jedną zasadniczą i dwie marginesowe.

Zasadnicza i ogólna uwaga odnosi się do metody podawania materiału gramatycznego i częściowo ortograficznego. Współcześnie zarówno program (po. cit. s. 204), jak i publikacje naukowometodyczne⁴ wymagają od nauczycieli polonistów stosowania metody poszukującej w nauczaniu gramatyki i ortografii. Metoda ta — jak wiadomo — polega na prawidłowej obserwacji i analizie tekstu i wyciąganiu uogólniających wniosków z dokonanej analizy. Taki sposób podawania materiału obserwujemy przy niektórych tematach w podręczniku, o którym mowa, np. s. 58 (spółgłoski dźwięczne — bezdźwięczne), s. 64 (głoski ustne — nosowe) i in. Jednak w podaniu większości tematów posłużono się metodą podającą, a więc zapoznaje się ucznia teoretycznie z odnośnym zagadnieniem, przytacza się regułę, potem zaś następują ćwiczenia utrwalające. Przykładowo wymieniłem można cały szereg tematów opracowanych metodą podającą: spółgłoski miękkie — twarde (s. 48), co to akcent (s. 73), znaczenie rzeczownika (s. 123), przysłowki odprzymiotnikowe (s. 192), przyimki (s. 205) i wiele innych.

O ile zatem wysoko ocenić trzeba wartości poznawcze i normatywne, czyli praktyczne nowego podręcznika na kl. V, o tyle ocena tegoż podręcznika wypadnie mniej korzystnie, gdy uwzględnimy cel kształcący nauczania szeroko rozumianej gramatyki. Podawanie uczniowi tych wiadomości w gotowej formie, do których może z powodzeniem dojść pod kierunkiem nauczyciela, niweczy w dużym stopniu kształcące walory nauczania gramatyki. Metoda podająca nie jest na pewno tą metodą, która „poza pewną wiedzę materialną i umiejętnością jej stosowania kształci myślenie uczniów na materiale językowym” (*Program*, s. 204).

³ Na cel normatywny nauczania gramatyki w szkole zwrócił szczególną uwagę prof. W. Doroszewski („Głos Nauczycielski” r. 1953, nr 51).

⁴ Zob. np. J. Dembowska, Z. Jakubowska: „Nauczanie języka polskiego w kl. V—VIII szkoły podstawowej”. Warszawa 1968, s. 111—2; „Metodyka nauczania języka polskiego w szkole średniej”. Warszawa 1968, s. 147.

Metodą najbardziej rozwijającą zdolności umysłowe uczniów jest metoda poszukująca i jej trzeba było dać pierwszeństwo, a nie odwrotnie. W tym zakresie dotychczasowy podręcznik do nauki o języku M. Pęcherskiego góruje nad nowo wprowadzonym do części naszych szkół.

Marginesowe szczegółowe uwagi ujemne odnoszą się: 1. do fleksji, 2. do ortografii. Oto na s. 143 podano wzór odmiany rzeczowników, posługując się przykładowymi rzeczownikami *syn, panna*. Przykłady chyba nie najlepsze, tym bardziej, że pierwszy z nich ma w msc. i woł. l.p. nietypową końcówkę. Jak słusznie zaznacza J. Tokarski⁵, zaznajamiając ucznia z odmianą rzeczownika, trzeba wyjść od przykładów prostszych, co zresztą jest ogólnie przyjęte, a takimi są na pewno rzeczowniki miękko tematowe, np. *koń, róża*, gdzie dziecku łatwiej wyodrębnić końcówkę i temat. To samo odnosi się do s. 152, gdzie odmieniono rzeczowniki *dwór* i *mapa*.

Po drugie, na s. 353 podano przykładowo zdanie: „Szkoła Podstawowa numer 230 w Warszawie...”, w którym uczeń ma zapisać skrótem wyraz *numer* (*nr*) pisany w nazwie szkoły małą literą, co w kontekście z odnośnym przepisem ortograficznym⁶ trzeba uznać za błąd ortograficzny.

3a. Nie wydaje mi się właściwe i celowe przytaczanie tekstów błędnych, które uczeń ma korygować, co czynią niekiedy autorki, por. np. s. 144, ćw. 4. W tego rodzaju ćwiczeniach po pierwsze skutek może być wręcz odwrotny do zamierzonego, a po wtóre błędów językowych szerzy się tyle naokoło w mowie i w piśmie, że lepiej polecić uczniowi zbieranie błędów językowych w najbliższym otoczeniu językowym i wykazywanie możliwości ich poprawiania i usunięcia.

b) O ile słusznie radzi Łazarkiewicz używanie jedynie formy *na dworze* (s. 145), gdyż nie zachodzi współcześnie potrzeba różnicowania znaczeniowego wyrażen *na dworze* (np. *królewskim*) i *na dworzu* «na świeżym powietrzu» wobec zaniku instytucji dworów, o tyle dziwi trochę wyłączone zalecanie formy *w borze* wobec równie poprawnej archaicznej formy *w boru* (por. *Słownik poprawnej polszczyzny* S. Szobera i SJP I, 625), choć końcówka archaiczna *-u* miejsc. l.p. dawnych rzeczowników II deklinacji jest coraz radsza.

Sformułowane powyżej uwagi prowadzą do wniosku, że nowy podręcznik M. Nagajowej i A. Świerczyńskiej na kl. V szkoły podstawowej w zakresie nauczania wiadomości z języka ojczystego ma cały szereg niezaprzeczalnych wartości, odznacza się różnorodną i ciekawą tematyką czytanek i ma niewątpliwie szanse upowszechnienia się w szkole.

Zawarte w niniejszej recenzji zastrzeżenia łatwo uwzględnić w następnym wydaniu, o ile w świetle uwag nauczycieli i rzeczoznawców okażą się słuszne.

Edward Breza

Język polski — poprawność, piękno, ochrona. Bydgoskie Towarzystwo Naukowe. Prace popularnonaukowe nr 4. Wyd. I, PWN — Oddział Poznań; Bydgoszcz 1969; s. 216.

O poprawności języka pisano i pisze się w dalszym ciągu dużo. Najnowszą pozycją zajmującą się poprawnością w ramach różnych zagadnień z zakresu kultury języka jest zbiorowa praca wydana przez Bydgoskie Towarzystwo Naukowe — pt.: „Język polski — poprawność, piękno, ochrona”. W jej skład weszły popularne referaty wygłoszone w latach 1964—66 na zebraniach bydgoskiego koła TMJP.

⁵ „Z pogranicza metodyki i językoznawstwa”. Warszawa 1967, s. 43

⁶ Zob. S. Jodłowski, W. Taszycki: „Zasady pisowni polskiej...” wyd. 16, s. 118.

Cele, postulaty i założenia poszczególnych artykułów tego zbioru są nienowe, można je uznać właściwie za jeszcze jedną realizację zasad sformułowanych i stosowanych przez kilku polskich językoznawców, przede wszystkim przez prof. dra Witolda Doroszewskiego. Założenia te — w postaci najbardziej syntetycznej — znalazły się w słowie wstępnym do pierwszego powojennego zeszytu „Poradnika Językowego”. Naczelny Redaktor, wznawiając po paroletniej przerwie pismo, dał na wstępie wyraz swojej postawie, zgodnie z którą celem pracy językoznawczej ma być nie sama popularyzacja „wyników prac specjalnych”, lecz znacznie ważniejsze od niej „poszukiwanie społecznego sensu nauki o języku w jej całokształcie i praca nad językiem, jako narzędziem służącym kształtowaniu myśli i stanowiącym jeden z ważniejszych czynników rozwoju i postępu kulturalnego narodu”. „Nie wpadając w okolicznościową i programową przesadę możemy wyznać — pisze dalej Redaktor „Poradnika” — że ów wspomniany przed chwilą społeczny sens nauki o języku wydaje się nam jednym z najistotniejszych składników treści — nawet teoretycznej treści — tej nauki. (...) W pracy nad językiem — narzędziem myśli — spotykać się mogą nie tylko teoretyk — językoznawca z praktykiem — nauczycielem języka, ale i ci wszyscy, którzy z zastanowieniem posługują się językiem i których jego losy obchodzą i przejmują. Dziedziny wspólnych zainteresowań są bardzo rozległe. (...)”.

Zagadnienie kultury słowa ma swoją historię.

Spoleczne cele, wyraźnie przyświecające autorom nowej książki, stanowią jej „wspólny mianownik” z wcześniejszymi pozycjami poświęconymi kulturze języka. Poza tym prezentowana książka różni się od tych pozycji, mimo że — jak większość z nich — jest zbiorem artykułów. Odmienne rysuje się głównie na tle poradników tej miary, co „O kulturę słowa”, „Polszczyzna piękna i poprawna” czy nawet na tle elementarnych podręczników poprawnościowych (np. „Język polski na co dzień” Przyłubskich, „Jak mówić i pisać poprawnie” Nalepińskiej), bo, chociaż zajmuje się dość szeroko poprawnością, nie jest przecież praktycznym poradnikiem, lecz zestawem dziesięciu niedługich prac (dawniejszych odczytów, co wpływa na ich deklaracyjny charakter) o bardzo różnorodnej tematyce.

Ze względu na niejednokrotnie powtarzające się ogólne zagadnienia odczyty te połączono w wydanym tomiku w trzy działy, z których pierwszy poświęcony jest odmianom i stylom współczesnej polszczyzny (zawiera prace Teresy Skubalanki: *Rola języka mówionego i pisanego* oraz *Język współczesnej polskiej literatury naukowej*, referat Henryka Dubowika: *Język współczesnych pisarzy polskich*, Walerego Pisarka: *Język w prasie i jego wykolejenia — na przykładzie prasy bydgoskiej*); drugi zajmuje się polszczyzną form krótkich (Walery Pisarek: *Tajemnice nagłówków prasowych*, Marek Kornaszewski: *O skrótach w języku polskim*, Jerzy Maciejewski: *Miejskie nazwy topograficzne jako zabytki kultury*), trzeci dotyczy poprawności językowej (Stanisław Urbańczyk: *Kto i jak ustala wskazówki językowe*, Edward Szymańda: *Język jako przejaw kultury społecznej*, Bogusław Kreja: *O przesadnej poprawności językowej*). Na zawartość książki składają się ponadto dwa obszernie skorowidze — *Skorowidz wyrazów, wyrażeń, zwrotów i morfemów* i *Skorowidz zagadnień językowych i niektórych pokrewnych: stylistycznych, literackich itp.* — oba opracowane przez Edwarda Szymańdę — oraz krótki wstęp tegoż autora, prezesa bydgoskiego koła Towarzystwa Miłośników Języka Polskiego.

Ze poziom języka zależy w wielkim stopniu od właściwej postawy społeczeństwa, to nie ulega wątpliwości. Taką odpowiednią postawę kształtują wszyscy autorzy kolejnych rozdziałów, a już programowo uczy jej E. Szymańda w artykule: *Język jako przejaw kultury społecznej*, w którym uświadamia najogólniej potrzebę doskonalenia języka, wyrabia poczucie odpowiedzialności za słowo pisane (w prasie codziennej, literaturze pięknej, grafice użytkowej itd.). Wykazawszy dużo niedociągnięć

i zaniedbań w różnych odmianach polszczyzny, p. Szymańda wyraził poważną obawę o kierunek jej rozwoju i piękno (rozdział zatytułowany jest: *W obronie tradycji i kultury języka*), upatrując przyczynę zachwiania norm w przemieszaniu ludności, w napływie repatriantów, czyli w zmianie warunków socjalnych, głównie w miastach. Odpowiedzialnością za obniżanie poziomu języka obarcza autor również prasę i literaturę piękną, która „(...) traci swój autorytet, rezygnując często z uprzywilejowanego miejsca w rozwoju kultury i w życiu narodu, kiedy posługuje się niewybrednym żargonem ulicy i mętów społecznych, używając wulgarnego, prostackiego słownictwa, omijając nieraz podstawową zgodność z zasadami poprawności językowej” (s. 158).

Przed tak bezwzględny wartościowaniem dzisiejszej literatury wstrzymał się H. Dubowik, autor szkicu: *Język współczesnych pisarzy polskich*, nie ocenę języka prozy i poezji stawiając sobie za cel, lecz jego charakterystykę. Przedstawivszy specyficzne cechy i tendencje językowe na przykładzie utworów Andrzejewskiego, Gombrowicza, Brezy, Putramenta, Białoszewskiego, Różewicza, Nowakowskiego, Przybosia i innych, potwierdził jednak niedostateczną selekcję w czerpaniu z mowy potocznej i języka publicystyczno-dziennikarskiego. Obok tego podkreślił wieczne poszukiwanie nowości przez pisarzy, wyrażające się w łamaniu kanonów i wprowadzaniu środków nie znanych i nierzadko zadziwiających.

Za najodpowiedniejszy organ upowszechniania kultury języka Edward Szymańda uważa prasę. Nawołuje do zakładania kącików językowych w każdym poczytnym dzienniku, proponuje nawet wydawanie specjalnego popularnonaukowego czasopisma na poziomie szkoły średniej i wyższych klas szkoły podstawowej [?], które zajmowałoby się szybkim udzielaniem porad w sprawach języka (dziś mamy np. w „Płomyku” *Pogotowie językowe*, rubrykę prowadzoną przez red. Kochańskiego).

Wśród wysuniętych w tym dziale propozycji niewątpliwie słuszny jest apel o udział polonisty w sporządzaniu różnych urzędowych instrukcji, okólników, napisów itd., dyskusyjny natomiast wydaje mi się pomysł założenia popularnonaukowego pisma językoznawczego. Czy nie lepiej łączyć się we współpracy z placówkami już istniejącymi? Po co tworzyć nowe organy zajmujące się omawianiem i rozstrzyganiem elementarnych kwestii (bo nie inne powstaną w wyższych klasach szkoły podstawowej, skąd m.in. mają rekrutować się przyszli czytelnicy), skoro z powodzeniem zastąpią je np. słowniki.

Zastanawiające, że zupełnie nie doceniony został „Język Polski” i „Poradnik Językowy”; stały czytelnik „Poradnika” nie skwitowałby go ogólną uwagą o przeciążeniu materiałami naukowymi. Wydaje się, że ponieważ i współczesne zjawiska językowe są w nim dostatecznie omawiane, i stała rubryka poprawnościowa nieprzerwanie funkcjonuje, to taka opinia jest zbyt skąpa i nieco krzywdząca.

Przy okazji — o drobnych uchybieniach językowych: w tymże „Poradniku” parę lat temu, jeszcze przed bydgoską akcją „O kulturę języka” („Por. Jęz.”, z. 2 z 1962 i z. 8 z 1964) wyjaśniano, że *mieć* i *posiadać* nie pokrywają się we wszystkich znaczeniach, o czym np. nie pamiętają autorzy poniższych zdań z nowego zbiorku: „Drugi średni nurt stylu potocznego posiada najwięcej użytkowników” (s. 12); „(...) styl mówiony posiada jeszcze jedną ważną cechę, a mianowicie ścisły związek z sytuacją towarzyszącą mówieniu” (s. 14); „[Język] (...) posiada różnorodne wartości estetyczne (...)” (s. 19).

Zastrzeżenia budzą także niektóre konstrukcje (usterki to oczywiście niewielkie i na tle całości prawie niezauważalne), np: „(...) publikacja obejmuje w zasadzie całość problematyki wchodzącej w zakres kultury języka, zwłaszcza języka pisanego, z tym że nie wszystkie zagadnienia zostały opracowane osobno (...)” (s. 8); „Przykładów dostarcza nam jakikolwiek tekst naukowy z tym, że należy tutaj odróżnić dwie sprawy” (s. 37).

Koncepcja powołania specjalnej komisji do walki z błędami stanowi zakończenie artykułu prof. Urbańczyka: *Kto i jak ustala wskazówki językowe*. Łączy się ona z potrzebą wykształcenia językoznawców, których głównym zadaniem będzie poradnictwo językowe.

W omawianym artykule, utrzymanym w swobodnym, pogadankowym tonie, orzecznictwo językowe zostało porównane z orzecznictwem sądowym — i w wielu punktach mu przeciwstawione. Zestawiając kryteria, do jakich odwołują się normodawcy spraw języka, autor wymienia siedem warunków nakazujących, aby zalecany i strzeżony przez nich język był jednolity, jasny i zrozumiały, łatwy do opanowania, żeby — jako ogniwo w łańcuchu rozwojowym — był łącznikiem między pokoleniami, żeby archaizmy oraz odmiany regionalne i środowiskowe podlegały ochronie, podobnie jak rodzimność; wreszcie, uświadamiając odbiorcom, że językowi z samej jego dynamicznej natury właściwy jest ciągły rozwój, przypomina o obowiązku czuwania nad jego kształtem współczesnym: ocena i regulowanie nowości należą właśnie do znawców i doradców językowych. Ostatni punkt rozważań przechodzi w ogólne określenie cech, jakimi powinien odznaczać się dobry doradca językowy (składają się na nie wielka wiedza, obiektywizm, trzeźwość, takt w stosunku do ludzi, pewna tolerancja itd.), co przypomina trochę kreślenie ideału dworzanina polskiego z epoki Renesansu. Zresztą w całej akcji „O kulturę języka” można dopatrzeć się tradycji dawnych stuleci, kiedy to obrona czystości i poziomu języka polskiego łączyła się z szeroko pojętą walką o dobro Rzeczypospolitej.

Dziś szczególnie bacznej kontroli wymaga język w prasie (terminu tego używa W. Pisarek zamiast określenia *język prasy*, określenia — jego zdaniem — niewłaściwego, bo sugerującego, że język występujący w dziennikach to całość jednorodna). W referacie na temat języka w prasie Walery Pisarek przedstawił rozmaite typy wykolejeń w dziedzinie słownictwa, frazeologii, składni, ortografii i interpunkcji, a jako przykład spiętrzenia wszelkich uchybień zacytował monstrualne zdanie, które przytoczę tu za nim nie tyle dla ostrzeżenia (bo to zjawisko sporadyczne), ile jako osobliwość:

„Chcąc bowiem racjonalnie postawić ten problem w aspekcie naukowym należałoby zbadać przede wszystkim obustronne możliwości takiego — współdziałania, które z jednej strony nie może polegać na jakiegokolwiek preponduacji Muzeum okręgowego w stosunku do podopiecznego, a które z drugiej strony musi wykazać się (oprócz dobrej woli) rozumieniem swej roli w zakresie naukowo-badawczym, do którego zaliczamy także (a może nawet głównie) opracowanie swych zbiorów i ich wystawiennictwo, które jest rezultatem poważnej pracy naukowej (wraz oczywiście plastycznym oddziaływaniem)” (s. 57).

Z zagadnieniem języka w prasie krzyżuje się, marginesowo dotąd traktowana, sprawa języka form krótkich, tj. nazw, nagłówków, tytułów publikacji, skrótów, nazw ulic, placów, dzielnic, instytucji i stowarzyszeń. Właśnie polszczyzna form krótkich doczekała się interesującego i obszernego opracowania w zbiorze BTN; zajęli się nią W. Pisarek, M. Kornaszewski, J. Maciejewski i E. Szmańda. W dziedzinie tej, zdaniem p. Kornaszewskiego, panuje chaos, czego dowodzą choćby praktyczne trudności przy ustalaniu rodzaju, liczby, a także pisowni skrótowców (*PKS przewiół czy przewiozła, PZWL «Państwowe Zakłady Wydawnictw Lekarskich» otrzymał czy otrzymały?*). Sprawę odmiany i pisowni skrótowców regulują dziś przepisy zawarte w „Zasadach pisowni polskiej” Jodłowskiego i Taszyckiego; zgodnie z nimi o rodzaju i liczbie skrótowca decyduje rodzaj i liczba rzeczownika stanowiącego jego podstawę (por. „Zasady pisowni polskiej i interpunkcji ze słownikiem ortograficznym”. Wyd. 16 z 1969; s. 109), co nie odpowiada naturalnym skłonnościom Polaków, mówiących nadal *ten PKS* i *ten PGR*.

O nazwach topograficznych Bydgoszczy zajmująco piszą J. Maciejewski w arty-

kule: *Miejskie nazwy topograficzne jako zabytki kultury* i E. Szmańda w ósmym rozdziale artykułu: *Język jako przejaw kultury społecznej*. Obaj autorzy opowiadają się za ochroną nazw historycznych i za kontynuowaniem tradycyjnych typów nazw.

Formami krótkimi są, jak wspomniałam, także tytuły publikacji. Analizą językoznawczą tytułów zajął się W. Pisarek w referacie: *Tajemnice nagłówek prasowych*, skupiając się na sposobie przekazywania przez nagłówek informacji o treści utworu. Artykuł jest dość niezwykły, mimo że dotyczy form poprawnych („niezwykłość nie musi być równoznaczna z błędnością” — s. 59). Odkrycie tajemnic zapowiedzianych w tytule to ujawnienie różnej wartości informacyjnej nagłówek; autor połączył je w 3 zasadnicze grupy: 1. te, które precyzują treść utworu, np. *Wybory w Grecji*; 2. te, które uwydatniają główną myśl czy nastrój, np. *Takie sobie drobiazgi*; 3. te, które wskazują odbiorcę, np. *Do spadkobierców Conrada*. Za podstawę klasyfikacji autor przyjął prawdopodobną reakcję czytelnika na po raz pierwszy widziany tytuł, reakcję uzewnętrzniającą się w pytaniach właściwych każdej grupie, a więc: 1. *kiedy? dlaczego? jak? gdzie?* itd.; 2. *o czym jest ten utwór?* 3. *czego on (oni) od nas chce (chcą)?* W artykule znajdziemy ponadto uwagi o budowie składniowej wiadomości, tzn. tytułów, które nie są ani zdaniem, ani oznajmieniem, np. *Z kraju*, i analizę składu leksykalnego nagłówek.

Warto przypomnieć także artykuł B. Krei: *O przesadnej poprawności językowej* (poświęcony błędom zrodzonym z nadgorliwości mówiących, znajdującym się powyżej normy) oraz dwa referaty T. Skubalanki: *Język współczesnej polskiej literatury naukowej*, analizujący głównie ogólną terminologię naukową i właściwości składniowe stylu naukowego i — umieszczony na początku zbioru — *Rola języka mówionego i pisanego*, gdzie autorka, wydzieliwszy różne piętra i odmiany w obu stylach polszczyzny, określiła, jak powinny wyglądać wzajemne związki między nimi.

„Język polski — poprawność, piękno, ochrona” jest publikacją pożyteczną. Parę zastrzeżeń natury stylistycznej a także nadmierny gdzieś patos i ostentacyjny dydaktyzm niektórych referatów nie wpływają na ogólną opinię o tej pracy, pokrywającą się z autooceną wyrażoną w przedmowie: „Całość zatem, ujmując zagadnienia w sposób nie tylko opisowy, ale i normatywny, ma zarówno wartości praktyczne, jak i poznawcze, informuje bowiem i poucza”.

Magdalena Foland

KILKA UWAG MIŁOŚNIKA POLSZCZYZNY

W podręcznych szpargałach mam m.in. wycinek z artykułem *O autentyczność polskiego języka* („Życie Warszawy”, 6.VI.68). Przytoczę dwa wyjątki z tego artykułu: „(...) należy wystrzegać się jak ognia jakichkolwiek czystek, stan zastany należy uznać za obowiązujący”. Absolutnie się nie zgadzam z tym zdaniem, natomiast skwapliwie się podpisuję pod drugim: „(...) nadszedł czas, by rozwój polszczyzny — miast być sprawą żywiołową — stał się przedmiotem świadomej kontroli”. Tu brawo! Chodzi tylko o to, kto ma tę kontrolę sprawować. Wprawdzie nie święci garnki lepią, ale każdy przyzna, że garnki dobrze ulepione mogą wyjść tylko z rąk prawdziwych garncarzy. Przechodzę teraz do właściwych uwag.

1. Minione lato obdarzyło nas — jak donosiła prasa — „suszą stulecia”. Ludności miast i zakładom przemysłowym dał się we znaki niedostatek wody, rzeki wysychały. Za to miłośnicy słońca mogli się smażyć nie tylko na zwykłej plaży, lecz także na piaszczystej wyspie wylonionej z dna Wisły. Opowiadali potem, że plażowali na „łasze”. Źle mówili. *Ł a c h a* to nie «piaszczysta łysina», lecz «o d n o g a rzeki oddzielona kępą od głównego koryta, czasem odnoga ślepa».

2. Niejako w nagrodę za wysychające rzeki przeżywaliliśmy latem powódź rocznic i jubileuszów. Warszawski „Express Wieczorny” krzychał 18.VIII. takim tytułem: *50-letni jubileusz PTM*. Sympatyczny „czerwoniak” popełnił błąd. W notatce chodziło o 50-letni żywot Polskiego T-wa Matematycznego, które w 1968 r. uczciło zjazdem półwiecze swej działalności. Był to więc *j u b i l e u s z 50-l e c i a*.

3. Popularne powiedzonko głosi, że człowiek ma ręce do siebie, a nie od siebie. Zapewne dlatego czasownik *wziąć* należy do słów najczęściej używanych. Ale proszę posłuchać rozmów naszych bliźnich: ileż osób, nawet mających za sobą wyższe studia, na co dzień beztrąsko mówi „*wziąć*”. Ilekroć słyszę, że ktoś tak to słówko wymawia, miewam ochotę na perorę: przyjacielu, przecież nie mówisz „*wzięście*”, tylko *w z i ę c i e*, racz przeto używać w mowie i piśmie jedynie poprawnej formy *wziąć*.

4. W poważnej książce, w której tytule kraśnieją malwy, znalazło się zdanie: „Brak zaufania we własną siłą” (s. 300). Te składnię trzeba uznać, zgodnie z Szoberem, za potknięcie. Mówimy wszakże: *mieć wiarę w siebie, ale zaufanie — do siebie*, więc też: *do własnej siły*.

5. W „Tajemnicach na sprzedaż” autorka pisze: „Opowieść oparłam o nie publikowane w Polsce materiały” (s. 51). I ta składnia jest nie najlepsza. Opowieść, wywody opieramy *na materiałach, na dokumentach*, jak budynek na fundamencie.

6. Kiedyś zauważyłem w oknie pewnej księgarni (nie „domu książki”) rzecz o dziwnym tytule: „Podstawy op a k o w a n i c t w a”. Musiałem wejść do sklepu, aby obejrzeć to cudactwo. Jak się z grubsza zorientowałem, był to podręcznik dla projektodawców i wytwórców opakowań handlowych. Jeśli już szkolnictwo zawodowe nie mogło się obejść bez dziwnego rzeczownika, to moim zdaniem lepiej by brzmiało *opakownictwo*, mogące się powołać na takie zbliżone wzory: *ratowanie—ratownictwo, szybowanie—szybownictwo*, więc też: *(o)pakowanie—(o)pakownictwo*. Jednakże oba terminy uważam za zbędne, a książkę dałbym prosty tytuł: „O p a k o w a n i a handlowe”.

7. Na opakowaniu bardzo reklamowanego obecnie tłuszczu widnieje napis: „margaryna witaminizowana”. Do margaryny już się przyzwyczaiłem, ale ten zbyt długi przymiotnik wciąż mi nie smakuje. Skoro np. port, do którego wejście zabezpieczono minami morskimi, nazywa się *zaminowany*, rany zaś bywały dawniej *jodynowane*, to chyba o margarynie, której wartość odżywczą wzbogacono witaminami, wystarczy napisać, że jest *witaminowana*.

8. Na zamknięcie tych uwag — coś z literatury obcej, lecz w stroju polskim. Obok naszego Kraszewskiego, słusznie nazwanego — z uwagi na przebogata puszczynę literacką — „Tytanem pracy” (tytuł opowieści napisanej przez H. M. Dąbrowską), literatura angielska może postawić autora „Waverleya”, dobrze znanego także w Polsce. Mam na półkach „Rob Roya” (Nasza Księg. 1956). Autor wstępu pisze: „Sentyment młodego Waltera (...) był zrozumiały”; ale kilkanaście zdań dalej już się wykoleja: „Do wyboru tematów historycznych (...) skłaniało Waltera Scotta (...)”. Czemuż nie: *Waltera Scotta*? To pytanie należy zadać wielu krytykom i historykom literatury. Czyżby ci zbuntowani przeciw polskiej gramatyce pisarze zamierzali wprowadzić „nowy ład?” Skóra na mnie cierpnie, gdy pomyślę, że niedługo może wypadnie mi czytać recenzję krytyka X. o przedstawieniu komedii *William Szekspira*, lub studium pana Y. o urokach poezji *Juliusz Słowackiego*.

Mieczysław Smogorzewski

Wiadoma rzecz: jedni doradcy w sprawach poprawności językowej przesadzają w surowości, inni znów — w tolerancyjności swych orzeczeń. Oto po jednym przykładzie na każde z tych wychyleń. Ktoś z czytelników nowego magazynu „Perspektywy” w liście do redakcji, ogłoszonym w nrze 4 (z 1969 r.) tego tygodnika, ostro skrytykował szerzący się — i znaleziony właśnie na łamach „Perspektyw” — zwrot *w szeregu wypowiedziach* (oczywiście, zamiast poprawnego *w szeregu wypowiedzi* lub *w licznych wypowiedziach, w kilku wypowiedziach*). Halina Krahelska, odpowiadając w imieniu redakcji (nr 7 „Perspektyw”) na wspomniany list, gorąco wzięła w obronę skrytykowaną składnię, dodając co prawda, że „zwrot to może nie najładniejszy i zapewne nie używany przez członków PAN”, ale całkowicie poprawny „na mocy powszechnego użycia”. Składnia ta, konkluduje p. Krahelska — „w języku potocznym zyskała prawo obywatelstwa”. Ośmielilibym się wyrazić zdanie nieco odmienne. Nie wszystko, co weszło w użycie w czasach ostatnich — podkreślam tę okoliczność, bo sprawa dawności jakiejś formy jest istotna przy orzeczeniu o jej poprawności — otóż nie wszystkie nowinki, zwłaszcza te, które nie są jeszcze w powszechnym użyciu (a wydaje mi się, że o powszechności używania form typu *w szeregu wypadkach* mówić by było jeszcze za wcześnie), uzyskują „prawa obywatelstwa” w języku. Składnia liczebników i wyrazów określających liczbę lub ilość rzeczywiście ulega zmianom, ale na razie każdy Polak, mówiący jako tako starannie, odróżnia połączenia: *w trzech, w wielu wypadkach* — i *w mnóstwie, w szeregu wypadków*.

Z kolei przegięcie — wyrażając się dość nowocześnie — w kierunku przeciwnym. Roman Izbicki w artykule *Student — język — stryjek* (nr 282 „Życia Warszawy”: student — to osoba pytająca o formy językowe, stryjek zaś — to surowy strażnik poprawności i czystości polszczyzny, któremu przychodzi w sukurs red. Izbicki) podaje tabelkę form błędnych i poprawnych, ograniczając się do rusycyzmów i germanizmów. Większość jego uwag jest słuszna, czytelnicy naszego miesięcznika — włącznie z czytelnikami niniejszej rubryki — nieraz już spotykali się z krytyką szkaradnych a nagminnie szerzących się zwrotów obcych polszczyźnie w rodzaju *co by się nie powiedziało, jaki by nie był*, z satysfakcją więc dowiedzą się, że red. Izbicki także tępi tego typu uchybienia przeciw czystości mowy. Oczywiście zgadzam się też, że należy mówić *im więcej, tym lepiej*, nie zaś *czym więcej, tym lepiej*, ale tu dodałbym, że to nie tylko rusycyzm, ale zarazem ukrainizm (ukr. *czym bilsze*), szeroko rozpowszechniony na wschodzie a także na południu Polski. Powtarzam dla pewności: poprawny jest jedynie zwrot *im więcej* — i ja sam innego nie używam, ale chodziło mi po prostu o wykazanie stopnia obcości i niepoprawności zwrotów *co by się nie powiedziało* — i *czym więcej*. Jeszcze inna sprawa z postawionym przez red. Izbickiego pod pręgierz zwrotem *na oczach tłumu* (zamiast *w oczach*). Zapewne w związku z poprawnymi formami typu *na własne oczy widzieć* — obok połączenia *w (czyich) oczach* zaczęło się szerzyć — może nie bez wpływu rosyjskiego *na glazach* — połączenie *na (czyich) oczach*. I rozpowszechniło się tak dalece, że np. Szobera *Słownik poprawnej polszczyzny*¹ uważa obie formy za równoprawne: „dziać się *w oczach* bądź *na oczach* czyich” i podobnie *Słownik* pod red. W. Doroszewskiego²: w dziale połączeń frazeologicznych z wyrazem *oko*

¹ S. Szober: *SPP*, str. 366 (hasło *oko*).

² *SJP* pod red. prof. dra W. Doroszewskiego, t. 5, str. 915 (hasło *oko*).

czytamy: „*Na oczach, w oczach* (a więc formę z *na* umieszczono na pierwszym miejscu! — A. S.), a. w czyjej obecności, wobec kogo” — po czym następują przykłady zarówno z *na*, jak i *w*. Podobny niewypał — to atak na formę *po czemu te jabłka?* Red. Izbicki uważa za jedynie poprawny zwrot *po ile*, tymczasem obie te formy są w powszechnym użyciu i obie uważamy za poprawne. Wystarczy zajrzeć do znanego dzieła prof. W. Doroszewskiego „O kulturę słowa”³. Nie inaczej ma się rzecz z potępionymi przez R. Izbickiego germanizmami. *Mieć miejsce* (zamiast *zdarzyć się, odbyć się*) to zarówno germanizm, jak galicyzm (tzn. zwrot wzorowany na francuskim *avoir lieu*), poza tym zaś nie tyle jawny błąd, co tandeta stylistyczna⁴, łatanina, używana przez osoby nie lubujące się w stylu starannym, w doborze środków językowych. Utyskiwania red. Izbickiego na *w międzyczasie* (wyrażenie z pewnością niepiękne) i *w pierwszym rzędzie* — uważać chyba można za głos wołającego na pustyni. Oryginalniejsze jest zwrócenie uwagi na obcość (boć to nie tylko germanizm!) i zbyteczność użycia zaimka *swoje* w wyrażeniach typu *zjazd zakończył swoje obrady*.

Skoro jesteśmy przy omawianiu poszczególnych form lub wyrażeń, zanotujmy jeszcze jedną batalię o poprawne używanie wyrazu *alternatywa* w znaczeniu wyboru między dwiema wyłączającymi się możliwościami. Batalię tę toczy znana naszym czytelnikom red. A. Cieślarkowa (*Jedno z dwojga*, nr 213 „Gazety Robotniczej”). Autorka szeroko rozwodzi się nad nonsensownością szafowania ową źle rozumianą *alternatywą* (mieć do wyboru *dwie alternatywy* to znaczy mieć przed sobą *cztery możliwości*, bo dwie ich pary), co jest tematem bardzo już ograny. Cenna — mimo że nienowatorska — jest jej uwaga końcowa, iż „nic tak nie obnaża płytkości naszej erudycji jak mówienie tego, czego nie rozumiemy”. A właśnie w chęci używania słów „ładniej brzmiących, bo z obca”, a więc z chęci popisywania się, wywyższania ponad tłum prostaczków, którym wystarczą słowa swojskie, nieefektywne i nazbyt zwykle, widzi autorka źródło wypierania *możliwości* przez ową nieszczęsną *alternatywę*. Spostrzeżenie w pełni trafne, rada zaś, by — w danym wypadku — posługiwać się takimi wyrazami jak przytoczona wyżej *możliwość* (*mam dwie możliwości*) czy też formy *albo, albo, jedno z dwojga* — całkowicie słuszna.

Nie można przeto odmówić sensowności propozycji, którą wysuwa E. G. w artykulu *A może by kurs polskiego?* (nr 213 katowickiego „Wieczoru” oraz przedruki). Jak łatwo się domyślić, autor — wspominając o mnogości kursów języków obcych — pół żartem, pół serio doradza zorganizowanie kursów doskonalenia języka polskiego. Nie bez racji, niestety, przypomina, że wśród przymusowych słuchaczy tego rodzaju kursów znalazłoby się wiele ludzi „ogładanych na telewizyjnych ekranach, występujących w charakterze prelegentów, instruktorów, wykładawców...”. Najwybitniejsi nawet specjaliści — sędzi autor nie bez żdźbła racji — „nie są w stanie przekazać tych swoich mądrości w poprawnej polszczyźnie”. E. G. uważa, że rzecz zaczyna się w szkole, która kładzie główny nacisk na przedmioty tzw. ścisłe, a zaniedbuje lekcje języka polskiego. Na uczelniach wyższych obowiązuje zasada — tak czytamy — że „ważne jest nie to, jak piszesz, ale co piszesz (...), a zasada ta rozciąga się też na wydziały humanistyczne”. Co do zasady, to chyba tak źle nie jest, ale w rzeczy samej, nasi magistranci, nie wyłączając polonistów, nie najlepiej władają językiem. Nie mówiąc już o ortografii, grzeszą najczęściej w dziale składni, stylu, frazeologii,

³ W. Doroszewski: „O kulturę słowa. Poradnik Językowy”; t. II str. 69. W artykulu pt. *Na ile ta kielbasa* czytamy: „poprawną formę pytania o cenę czego jest: *po ile? po czemu?*, a nie: *na ile?*”.

⁴ Określenia *tandeta stylistyczna* użył — w stosunku do połączenia *mieć miejsce* — prof. dr W. Doroszewski, zapytany przeze mnie (A. S.) o ocenę omawianego zwrotu. Tę opinię prof. Doroszewskiego zacytowałem w artykulu, w którym szerzej rozpisałem się o tym „dopuszczalnym, mającym charakter ogólnoeuropejski, a zarazem zacieraającym różne odcienie znaczeniowe” połączeniu (tygodnik „Za i przeciw” nr 31 z 1959 r., *Dajmy o język ojczyzny*).

słownictwa. Z jednej strony piszą nieudolnie, naiwnie, z drugiej zaś — a właściwie jest to inna postać tego samego niedomagania — silą się na styl i język zawily, pseudouczony, szpikują tekst obcymi terminami. Żartobliwa rada E. G. jest więc bardzo na czasie: „twórzmy kursy języka polskiego, tak jak kursy doskonalenia rzemiosła. Będą to bardzo pożyteczne placówki”.

Kursy kursami, przede wszystkim warto by uczulić tych wszystkich pracowników, którzy zawiadują najróżniejszego rodzaju publicznymi enuncjacjami słownymi, na poprawność języka. Oto drobny a konkretny przykład: w artykuliku *Uczmy poprawnie* „Gazeta Poznańska” (nr 215 z 69 r.) informuje, że nadawane przez megafony wskazówki dotyczące ruchu ulicznego — wypowiedziane bywają fatalną polszczyzną (np. *przechodniu, z a t r z y m się*). Rzecz jasna, autor wzmianki gorąco protestuje przeciw podobnemu kaleczeniu języka w miejscach jak najbardziej publicznych. W Poznaniu chodziło o język mówiony, we Wrocławiu zaś — o pisany. W rubryczce *Wyszperane podsluchane* (nr 213 „Gazety Robotniczej”) dziennikarz wrocławski żali się na błędy ortograficzne (a częściowo i językowe), spotykane na tablicach lub planszach zdobiących place i ulice miasta. Np. nazwa odbiornika radiowego *menuet* podana została przez firmę „Diora” w postaci *manuet*, obce zaś nazwiska patronów ulic wrocławskich (lub klubów) napisano niewłaściwie: *klub. im. Rozenbergów* (zamiast: *Rosenbergów*), ul. *Thelmana* (zam. *Thälmana* lub *Thaelmanna*). Autor wzmianki nie bez słuszności dodaje, że imiona własne zachowują u nas pisownię oryginalną, od zasady tej jednak — bądźmy obiektywni — czasem należy odstąpić, właśnie wtedy, kiedy obce nazwisko, odczytywane przez najszersze kręgi społeczeństwa, wskutek wymowy literowej byłoby zniekształcane. Jak wiemy, w Warszawie mamy na tabliczkach ulicznych formy *ul. Szopena, al. Waszyngtona*. Skoro jednak tak, to należało już konsekwentnie usunąć *h* z niby fonetycznej postaci *Thelman*. Osobiście jestem zdania, że w wypadkach nazwisk obcych nie o znaczeniu światowym (tzn. nie takich, jak ów *Chopin — Szopen, Washington — Waszyngton*, nawiasem mówiąc — formy umieszczone na drugim miejscu są nie tyle fonetyczne, co specyficznie spolszczone) należałoby na tabliczkach ulicznych umieszczać dwie postaci, oryginalną i fonetyczną, co zresztą w poszczególnych razach nie byłoby zbyt proste. Wiemy z doświadczenia, że np. *ul. Stanisława Dubois* (istniejąca w niejednym naszym mieście) tzw. szary przechodzień odczytuje literowo jako ulicę *dubois* lub *dubojsa*. Kto wie, czy nie lepiej byłoby dopisać pod formą *Dubois* postaci zbliżonej do fonetycznej — *Diubua*? Wracając do wzmianki „Gazety Robotniczej”, w której ostro skrytykowano formę *ul. Staszycyca*, zauważyć wypada, że aktualne przepisy ortograficzne podają jako poprawne obie postaci: *Staszyc* (zgodną z ogólnymi zasadami naszej fonetyki i pisowni oraz przeważającą w swobodnej wymowie) i *Staszic* (historyczną). Co prawda przyznać trzeba, że oficjalne przepisy dotyczące pisowni nazwisk polskich w jednym punkcie sformułowane są dość kapryśnie. Chodzi o wahania między użyciem liter *y* i *j*. Kanclerz z XVI wieku zwie się więc *Zamojski*, a polityk i działacz z w. XIX — *Zamoyski*. Wydawnictwo pt. *Słownik ortograficzny* (S. Jodłowskiego, W. Taszyckiego, wyd. VII, s. 202) wyjaśnia, iż „utarł się zwyczaj, że nazwiska (...) postaci historycznych, które działały przed w. XIX piszemy zgodnie z ortografią dzisiejszą (...), a nazwiska osób z czasów nowszych (...) zgodnie z pisownią oryginalną (np. *Zamoyski, Domeyko, Reymont*)”. Każdy chyba przyzna, że niezależnie od niewątpliwych walorów praktycznych tej zasady ogólnej — dublet typu *Jan Zamojski — Andrzej Zamoyski* jest trudny do przyjęcia. Czy nie lepiej byłoby w odniesieniu do tego właśnie nazwiska — uznać za równoprawną pisownię przez *j* bądź przez *y* bez względu na osobę, noszącą to samo przecież nazwisko? Zresztą taką dwoistość dopuszczono już przy formach *Staszyc — Staszic*, więc precedens istnieje.

Notatka czysto informacyjna: poznański miesięcznik „Nurt” zapowiedział w nrze

8 z 69 r. publikację nowego cyklu artykułów (z serii Małej Wszechnicy „Nurtu”), zatytułowanego *Historia literatury — teatr — kultura języka*. Cieszy nas, że wśród dziewięciu zapowiadanych artykułów dwa dotyczą spraw językowych i z wielką ciekawością pozycje te przeczytamy. Mają to być artykuły: Wojciecha Ryszarda Rzepki *Co to jest polityka językowa?* (w styczniu 1970 r.) i Anny Wierzbickiej (m.in. autorki znanej książki „O języku dla wszystkich”) *Miłość i nienawiść — rozważania semantyczne*.

*

Prace nad *Słownikiem polszczyzny XVI wieku* postępują powoli, ale systematycznie. Może dla uspokojenia opinii publicznej (przede wszystkim — polonistycznej), a zarazem dla przypomnienia o tym poważnym przedsięwzięciu leksykograficznym co pewien czas ukazują się — można by to tak nazwać — biuletyny twórców *Słownika*. I tak wzmianka pt. *Nie tylko dla językoznawców* (nr 219 „Gazety Toruńskiej”) przypomina, że dzieło to redagują cztery pracownice: toruńska, poznańska, wrocławska i krakowska, z kolei zaś mamy zapowiedź, że całość obejmie kilkanaście tomów, w bliskiej zaś przyszłości ukaże się tom IV. Końca prac należy oczekiwać za lat kilkanaście. Wzmianka umieszcza omawiane dzieło w cyklu wielkich edycji słownikowych, ogarniających całość słownictwa polskiego w jego historycznym rozwoju. Chodzi tu więc — poza wspomnianym słownikiem, jak się wydaje najobszerniejszym ze wszystkich — o krakowski *Słownik staropolski*, opracowywany w Warszawie *Słownik Paska* (w znacznej mierze dodajmy — mający zastąpić słownik polszczyzny wieku XVII) oraz „powszechnie znany, poświęcony słownictwu wieku XIX i XX *Słownik języka polskiego* W. Doroszewskiego”. Ponieważ wzmianka ukazała się w piśmie toruńskim, znajdujemy w niej też zwięzłą informację o opracowywanym w Toruniu *Słowniku Mickiewicza*.

*

Walka z zalewem cudzoziemszczyzny językowej to temat mocno ograny. Tym wszystkim jednak, którzy — powołując się na uniwersalizm, zbieżne tendencje kulturowe, zmniejszanie się odległości wskutek postępu w dziedzinie komunikacji, wreszcie na fakt, że żywy język zawsze zasila się obcymi sokami — bardzo liberalnie, jeżeli nawet nie z uznaniem, patrzą na gwałtownie rosnącą liczbę wyrazów obcego pochodzenia, polecam lekturę bezpretensjonalnego artykułu Włodzimierza Karwata pt. *Słuchać hadko* (nr 36 „Głosu Nauczycielskiego”). Autor po prostu przypomniał nam kilkadziesiąt doskonale znanych wyrazów obcych, które weszły do języka głównie w latach (lub dziesiątkach lat) ostatnich. Omawia kolejno różne dziedziny życia powszedniego i wtedy dopiero uprzytamniamy sobie, że tej obcości jest wiele, doprawdy chyba zbyt wiele. A więc — odzież: *slipy*, koszule *non iron*, *pulowery*, *szorty*, *polo*, *dżinsy*, *garsonki*, *kombinacje*, *szmizjerki*, *princeski*... Autor wymienia także — choć to już nie artykuł odzieżowy — *żyletki silvery*. Zresztą nie przytoczyłem tu wszystkich pozycji, a i one bynajmniej nie wyczerpują zasobów „odzieżowej obczyzny” językowej. Czemu tylko autor pisze o *zakładaniu* (*brajtszwanców*, *merynosów* itd.)? Czyż nie wystarczy mu *wkładanie*, którego to wyrazu użył zresztą dwukrotnie? Z przekory bronilibym może formy *rajstopy* (również napiętnowanej w artykule), jako dość zabawnego zlepku z dobudówką typowo popularnej, naiwnej (dawniej zwanej ludową) etymologii. Mówię o zlepku, no bo drugi człon jest szczeropolski (*stopy*), pierwszy zaś — w rzeczywistości jest okaleczonym rdzeniem pochodzenia niemieckiego *reit-* (niem. *reiten* «jeździć konno») i został wydzielony z formy dziś już przestarzałej: *rajtuzy* (z niem. *Reithosen* «spodnie do jazdy konnej»). Dziecięce *rajtuzy* są bezpośrednim przodkiem (jeżeli chodzi o sam przedmiot, o wiadomą część garderoby) dzisiejszych damskich (i dziewczęcych) *rajstop*. Zapewne już w nie tak dawnej przecie epoce *rajtuzów* (tych dziecięcych,

będących z kolei potomkami pierwotnych *rajtuzów* «spodni do konnej jazdy») wyraz ten dzielono w świadomości językowej nie na etymologiczne części *rajt-uzy*, ale *raj-tuzy*, do czego przyczyniła się zarówno granica sylab między *j* a *t*, jak i półświadoma adideacja (skojarzenie pojęciowe) do znanych wyrazów *raj* i *tuz*. Ten to właśnie *raj* doczepiono do *stóp* i tak powstał fragment odzieży, który — w półświadomości mówiących — jest niejako „rajem dla stóp”, choć w rzeczywistości „rajskie” mile ciepło odczuwają tu także zgoła inne, oddalone od stóp partie ciała, chronione przed chłodem *rajstopami*. Tu mała ciekawostka: język czeski jest znany z ogromnej łatwości tworzenia nowych nazw, najczęściej jednowyrazowych, w tym wszakże wypadku nasi południowi przyjaciele i sąsiedzi zadowolili się formą opisową, dwuwyrazową: *kalhotové punčochy* (dosłownie: «spodniowe pończochy»).

Ale nie odchodźmy od artykułów W. Karwata. W dziale gastronomicznym obczyzna hula na dobre, chodzi nie tylko o zadomowione już przecież *filety*, *hamburgery*, *sznyce*, ale też o różne *hors d'oeuvre*, *drinki*, *hot dog* (dosłownie «gorący pies» — jak to czasem dobrze nie znać obcego języka...), piwo *full light* itd. Podobnie w sporcie (*forhandy*, *auty*, *gole*), w prasie (*preferowanie*, *eskalacja*, *bilateralny*, *spektakl*, *nieprolifracja*). Autor nader słusznie wypomina (czyniliśmy to wielokrotnie) krytykom literackim ich napuszone tyrady, uważając, że „siłą się oni, by ich nie rozumiano”. W. Karwat wstępuje tu już na teren szerszy niż walka z wyrazami obcymi i wyśmiewa pseudonaukową manierę, polegającą na nadużywaniu określenia *liczba rzędu takiego a takiego*. „Jak tak dalej pójdzie — czytamy — to i w szkole $2+2$ będzie wynosiło *liczbę rzędu 4*”. W zakończeniu autor sprzeciwia się natrętnemu szafowaniu określeniem *show* (widowisko), zwłaszcza że chodzi o dziedzinę teatru, a wielki dramaturg angielski nazywa się właśnie *Show*. „Słazacy — pisze W. Karwat — opowiadają sobie bajeczkę o Bernardzie Show (oczywiście chodzi o żart słowny w rodzaju: znasz bajeczkę o Łōdzi? — nie *ludź się*. — A.S.): Bernard szoł na szichta (tzn. poszedł na szychę). Jak ten *show* wejdzie w potoczne użycie (a już stopniowo wchodzi — A.S.), to wyjdzie bajeczka: Bernard szoł na *show* o Bernardzie Show”. Ostatnie zdanie artykułu W. Karwata brzmi żartobliwie, ale zawiera niemało słuszności: „Ukazują się wspaniałe słowniki, przydałby się jeszcze jeden, żeby można było tłumaczyć z polskiego na nasze”.

A.S.

Administratywista?

Doc. dr Józef Wołoch zorganizował w listopadzie ubiegłego roku we Wrocławiu konferencję naukową poświęconą zagadnieniom teorii i praktyki administracji. Korespondent pisze, że w badaniach i w praktycznym rozwiązywaniu rozmaitych problemów z zakresu działalności organizatorskiej rad narodowych bierze udział coraz liczniejsza rzesza kompetentnych ludzi, wyłania się więc kwestia, jak nazywać tych wszystkich, dla których administracja staje się przedmiotem zainteresowania poznawczego. Według korespondenta odpowiednią nazwą jest nazwa *administratywista*, której używa on w tym znaczeniu jako autor prac naukowych oraz jako wykładowca mający kontakt ze studentami uczelni wrocławskich. Korespondent pragnie jednak pozostawać w zgodzie z językiem polskim i dlatego powodowany — to mówię od siebie — szlachetnym skrupułem prosi o opinię w sprawie tego neologizmu terminologicznego, w którym widzi analogię do takich terminów jak *cywilista* lub *ekonomista*. — Zaczęną od tego językowego skrupułu, to znaczy od rozważenia tego, jak można ocenić wyraz *administratywista* pod względem jego budowy słotwórczej. Analogii do takich wyrazów jak *cywilista* lub *ekonomista* w tym wypadku nie ma, wspólny tym wyrazom jest tylko formant (przyrostek) *-ista*, ale o ile podstawę słotwórczą formy *cywilista* stanowi przymiotnik *cywilny* (z opuszczonym *-n-*), formy *ekonomista* — rzeczownik *ekonomia*, o tyle formie *administratywista* podstawy słotwórczej brak. Forma ta jest utworzona jak gdyby od przymiotnika *administratywny*, ale takiego przymiotnika w języku polskim nie ma i nie warto go wprowadzać, bo wystarcza będący w powszechnym użyciu przymiotnik *administracyjny*, w poprawny sposób utworzony od rzeczownika *administracja*. Nie każdy z mówiących uzasadniłby w ten sposób zastrzeżenia, które w nim wywołuje forma *administratywista*, ale faktem jest, że forma ta wywołuje odruchowe sprzeciwy osób mających sposobność z nią się zetknąć. To może stwierdzić każdy, niezależnie od tego, jaki jest stopień jego zażyłości z gramatyką. Ze społecznym rezonansem wyrazów należy się liczyć zawsze, bo ten rezonans stanowi o ich przydatności jako narzędzi współpracy i wymiany myśli. Jeżeli dyskusja dotycząca zagadnień administracji państwowej zaczyna się komplikować z tego powodu, że powstaje spór co do stosowności lub niestosowności nazwy *administratywista*, to już sam ten fakt przemawia przeciw tej nazwie. Oczywiście można uważać, że po pewnym czasie spór wygaśnie i nazwa się utrzyma, wejdzie w życie, ale chodzi o to, ile energii należy wkładać — i czy należy ją wkładać —

w upowszechnianie proponowanego neologizmu. W tej kwestii rola językoznawcy się kończy z chwilą, gdy wypowiedział on swoją opinię opartą na względach formalno-gramatycznych. W dalszym ciągu sporu głos jego nie jest już głosem fachowca, ale głosem jednego z równouprawnionych partnerów dyskusji dotyczącej tematu wszystkich w równym stopniu obchodzącego. Z jakiego względu może komuś zależeć na tym, żeby utworzyć specjalną nazwę jako określenie tych, dla których administracja staje się przedmiotem zainteresowania poznawczego? Takich pracowników można by było nazywać *teoretykami administracji*, ale czy byłoby to właściwe określenie czyjś zawodu? Czy najnaturalniejszą pobudką poznawczego zainteresowania sprawami administracji nie jest chęć doskonalenia praktyki, metod pracy, sposobów działania w tej dziedzinie? Pracę administracyjną wykonywa *administrator*. Wyraz ten może być nie tylko synonimem *rządcy*. Artur Śliwiński (zmarły w r. 1953) pisał w swej książce o Joachimie Lelewelu: „Sprężysty administrator, znający władzę swoją zwierzchnik (...) umiał nakazać dla siebie szacunek a urząd swój otoczyć powagą i blaskiem”. Tym urzędem był właśnie urząd administratora. Tak samo jak nazwy *matematyk*, *filolog*, *prawnik* mogą się odnosić nie tylko do specjalistów naukowych w zakresie matematyki, filologii, prawa, ale i do studentów odpowiednich wydziałów, można by było nazywać potocznie *administratorami* zarówno studentów czy absolwentów studium administracyjnego, jak pracowników naukowych specjalizujących się w teorii administracji. Lepiej moim zdaniem rozszerzyć zakres znaczeniowy nazwy *administrator* zachowując związek z jej treścią praktyczną, niż akcentować specjalnie utworzonym terminem to, że chodzi o kogoś, kto się interesuje administracją ze stanowiska poznawczo-teoretycznego. W związku wyrazowym *wyklady z administracji* *administracja* ma znaczenie nauki, w związku wyrazowym *praca w administracji* ten sam wyraz odnosi się do czynności praktycznych. Tak samo *administrator* mógłby być nazwą nie tylko praktyka, ale i teoretyka. Można by było nawet uważać, że w ten sposób podniosłoby się rangę znaczeniową terminu *administrator*, realizując jednocześnie bardzo ważny postulat łączenia teorii z praktyką. Bułhak wprowadził kiedyś nazwę *fotografika* jako określenie fotografii artystycznej i to się przyjęło, ale częścią składową tego neologizmu stał się będący już przedtem w użyciu wyraz *grafika*. Jeżeli się chce różnicować *administrację* jako działanie i *administrację* jako teorię, to analogicznego punktu oparcia brak. Bardzo dziękuję korespondentowi za życzenia noworoczne, które serdecznie odwzajemniam.

Socha — znaczenia wyrazu

Ob. Krystyna Biernat ze Szreniawy w województwie poznańskim prosi o wyjaśnienie, czy wyraz *socha* oprócz znaczenia narzędzia rolnicze-

go może mieć również znaczenie pochylego słupa jako elementu konstrukcji stodoły. — Owszem, tylko niekoniecznie pochylego. To znaczenie jest nawet w gwarach dość pospolite, o czym można się przekonać oglądając mapy *Małego atlasu gwar polskich*, z którego doc. Siatkowski uprzejmie wynotował *sochę* w znaczeniu «słupa w stodole» jako znaną w różnych powiatach Małopolski (Miechów, Busko, Mielec, Sandomierz), Wielkopolski (Gostyń, Środa, Oborniki) i Mazowsza (Płock, Płońsk, Pułtusk). W Turku w Kaliskiem, a zapewne i gdzie indziej, *socha* znaczyć może słup nie tylko w stodole, ale i w piwnicy. Dygasiński, który się interesował gwarami, w jednym ze swych artykułów wymienił *sochy* jako „najwyższe słupy w stodole”. Znanie jest także i zarejestrowane w naszym *Słowniku* znaczenie *sochy* jako «pnia drzewa rozdzielonego widlasto na dwie odnogi, rozwidlonej gałęzi» (por. *lipa rosochata*). To znaczenie było zapewne punktem wyjścia *sochy* jako radła, czyli drewnianego narzędzia do orania. Franciszek Zabłocki pisząc w jednym ze swych wierszy „Rolę musi pierwej socha ugnieść krzywa” kojarzył widocznie *sochę* z wyobrażeniem przede wszystkim drewnianego haka ryjącego bruzdy w roli. W języku czeskim *socha* znaczy «posąg», co znowu się łączy z *sochą-słupem*.

Wypadek — przypadek

Ob. Krystyna Fańczyk z Warszawy pisze, że po szczepieniu ochronnym przeciw ospie zachorowała na ostre zapalenie i powiększenie śledziony, w ciągu kilku lat pozostawała pod opieką lekarską, wreszcie doszło do konieczności usunięcia śledziony, następstwem zaś tego stała się utrata zdolności do pracy. Korespondentka pyta, czy to, co zaszło w jej życiu i co w przytoczonych słowach opisała, jest *wypadkiem*, *przypadkiem* czy też wymaga jakiegoś innego określenia. — Gdyby o tym opowiadał lekarz lekarzowi, to zapewne mówiłby o *przypadku*, który miał w swojej praktyce lekarskiej, bo to, co się staje przedmiotem badania lekarzy, określają oni jako *przypadek*. To znaczy, że w tej konwencji terminologicznej ofiara wypadku czy też to, co się z nią stało, staje się *przypadkiem* z chwilą, gdy się tym zainteresuje lekarz. Według mnie należy dążyć do tego, żeby określać rzeczy i zjawiska w sposób możliwie obiektywny, używając pewnej nazwy niezależnie od tego, kto o czymś mówi, i z jakiego stanowiska rzecz ujmuje, ale zależnie od tego, czym jest ta rzecz. Oto jaskrawy przykład ilustrujący to, co chcę powiedzieć. Pewien wybitny, zamiłowany w swoim zawodzie i zasłużony chirurg (zmarły przed kilkoma laty) opowiadał mi kiedyś, że na drodze wiejskiej wóz zaprzężony w konie potrafił chłopą, któremu dyszel zmiążdżył twarz. „To był wspaniały przypadek, mówił ów chirurg, cała twarz była zmasakrowana”. Mówiący przejmował się okaleczonym człowiekiem, chciał i umiał mu

pomóc i pomógł, nikt by go w tym nie wyręczył. Określenia „*wspaniały*” użył dlatego, że leczenie poszkodowanego wymagało skomplikowanych zabiegów chirurgicznych, które w końcu doprowadziły do pomyślnych wyników. Rozumiałem intencję mówiącego, ale jednak wydawało mi się, że w stylu swej narracji uległ on pewnej „deformacji zawodowej”. Wypadek pozostaje wypadkiem — to znaczy w najogólniejszym znaczeniu tego wyrazu wydarzeniem, faktem — niezależnie od tego, czy staje się przedmiotem czyjegoś badania czy nie. Wypadek choroby jest wypadkiem choroby, przykrym wypadkiem dla tego, kto zachorował. Tym wypadkiem zajmuje się lekarz troszczący się o przywrócenie choremu zdrowia. W życiu pacjenta choroba jest wypadkiem, ten właśnie wypadek staje się przedmiotem badania lekarza, po co więc wprowadzać podwójną nomenklaturę używając wyrazu *przypadek* w znaczeniu ze stanowiska lekarza subiektywnym, pomijając już to, że przez takie użycie zaciera się odrębność znaczeniową *przypadku* jako czegoś nieobliczalnego, nie dającego się tłumaczyć działaniem określonych przyczyn (na przykład: *spotkaliśmy się przypadkiem*), oraz *przypadka* jako kategorii gramatycznej. Pomieszanie pierwiastków treści obiektywnych z subiektywnymi daje się dziś często zauważyć także w sposobach używania wyrazu *problematyka*: wyraz ten ma zasadniczo treść subiektywną, znaczy on «zespół zagadnień», czyli tych myśli, które wywołuje w nas kontakt z obserwowanymi faktami, tymczasem *problematyka* bywa używana w znaczeniu obiektywnym, a więc wtedy, kiedy należałoby mówić o zespole obiektywnych faktów, nie zagadnień. Przykładem pomieszania pojęć może być takie zdanie z przemówienia publicznego: „Trzeba, żebyśmy się orientowali w problematyce tych zagadnień”. Połączenie wyrazów *problematyka zagadnienia* ukazało się nawet jako podtytuł pracy naukowej. Dążność do tego, żeby nie mieszać faktów z myślami o faktach, powinna nam dyktować przemyślane posługiwanie się wyrazami *wypadek* — wydarzenie, *przypadek* — gramatyczny albo losowa nieobliczalność.

Łąki szumiące (a nie: kwitnące)

Parokrotnie wspominałem o tym, że wdzięczny jestem osobom, które dzielą się ze mną uwagami na temat tego, co mówię albo piszę, czuję się więc w obowiązku podziękować znanemu poecie i tłumaczowi Gabrielowi Karskiemu za uwagę, którą mu nasunęła lektura drugiego tomu mojej książki „O kulturę słowa”. Niestety dla mnie uwaga dotyczy szczegółu, który mnie stawia w złym świetle i to w związku z tekstem Mickiewicza. Na stronie 158 wymienionej książki zacytowałem fragment jednego z sonetów krymskich w następującej postaci: „wóz nurza się w zieloność i jak łódka brodzi wśród fali łąk kwitnących, wśród kwiatów powodzi”. Cytowałem z pamięci, co mi się zdarza dość często, ale tym razem pamięć mnie zawiodła: Mickiewicz pisał o fali łąk *szumiących*, a nie *kwitnących*,

tak jak ja, cytując go, napisałem pod wpływem skojarzenia z „powodnią kwiatów”. Pewna życzliwa osoba radziła mi, żebym próbował obstawać przy swoim i dowodził, że mój wariant brzmi ładniej niż oryginał Mickiewicza, ale się nie decyduję na współzawodnictwo z wieszczem, bo sam nie byłbym o swojej racji przekonany, więc tym mniej miałbym szans na pozyskanie opinii ogółu. Pozostaje mi tylko przyznać się do błędu, pocieszając się tym, że na pamięci wieszczą mój błąd skazy nie zostawi. Wymaga jednak korekty w każdym egzemplarzu książki, o co też bardzo bym prosił tych, którzy do niej zagląдают.

Mnogość

Ob. Stefan Rypiński z Białej Podlaskiej pisze, że w tekście pewnego sprawozdania ogłaszanego przez radio użyte było zdanie „mnogość nagromadzonych przepisów i zarządzeń”. Korespondent pyta, czy wyrazu *mnogość*, o którym sądzi, że pochodzi z języka rosyjskiego, nie można by było zastąpić wyrazem *dużo* albo *sporo*. Obydwa te wyrazy, a zwłaszcza *sporo*, nie są jednoznaczne z wyrazem *mnogość*; ten, kto mówił o „mnogości przepisów i zarządzeń”, prawdopodobnie uważał, że tych przepisów i zarządzeń jest za dużo, bo *mnogość* znaczy «wielką liczbę, obfitość, mnóstwo». Sienkiewicz pisał w „Ogniem i mieczem”: „Ujścia rzek (...) aż czerniły się od mnogości ptactwa”, Mickiewicz w „Dziadach”: „Jak ujrzy noc i żar, srogość i mnogość kar, złęknie się”, Staszic w „Uwagach nad życiem Jana Zamoyskiego”: „Nie mnogość kwadratowych mil, ale wielkość milionów jej mieszkańców państwa szczęśliwość, moc i trwałość oznacza”. Dziś *mnogość* jest wyrazem przestarzałym, używanym tylko w terminologii specjalnej, na przykład w matematyce: *teoria mnogości*, przestarzały jest również stanowiący podstawę słowotwórczą tego rzeczownika przymiotnik *mnogi* używany jednak jeszcze przez pisarzy i poetów. Jak widać z przytoczonych przykładów, wyraz *mnogość* nie jest w języku polskim rusycyzmem. Rzeczownik *mnogość* nie ma w języku rosyjskim słowotwórczego odpowiednika, przymiotnik zaś bywa w tym języku używany tylko w liczbie mnogiej (jeszcze jeden przykład użycia tego przymiotnika w polskiej terminologii specjalnej).

W.D.

Uwadze Czytelników polecamy
Serię Państwowego Wydawnictwa Naukowego

MAŁE MONOGRAFIE PWN

Seria obejmuje syntetyczne i zwięzłe opracowania różnych działów lub wyodrębnionych zagadnień z zakresu matematyki, fizyki, chemii, biologii i techniki. Tematyka książek wydanych w tej serii jest szczególnie aktualna, dzięki czemu umożliwiają one śledzenie postępu i tendencji rozwojowych w naukach ścisłych.

W serii „Małe Monografie PWN” — Matematyka — ukazały się w sprzedaży:

L. E. Elsgolc: Równania różniczkowe z odchylnym argumentem
1966 PWN, s. 146, 2 nlb, zł 20.—

A. Erdelyi: Rozwinięcie asymptotyczne
1966 PWN, s. 134, 1 nlb, zł 15.—

R. V. London: O logice matematycznej
1968 PWN, s. 111, zł 12.—

J. Mikusiński, R. Sikorski: Elementarna teoria dystrybucji
1964 PWN, s. 128, 1 nlb, zł 18.—

Książki serii „Małe Monografie PWN” można nabyć we wszystkich księgarniach „Domu Książki” oraz we Wzorcowni Wydawnictw Naukowych PAN—Ossolineum—PWN, Warszawa, Pałac Kultury i Nauki.

WARUNKI PRENUMERATY CZASOPISMA

PORADNIK JĘZYKOWY

miesięcznik

Cena prenumeraty krajowej:

I półrocze zł 36.—

II półrocze zł 24.—

Prenumeraty przyjmowane są do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe i listonosze. Czytelnicy indywidualni mogą dokonywać wpłat również na konto PKO Nr 1-6-100020 Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”. Warszawa, ul. Wronia 23.

Wszystkie instytucje państwowe i społeczne mogą zamawiać prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów i delegatur „Ruchu”. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40% droższa od krajowej, przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23, konto PKO Nr 1-6-100024, tel. 20-46-88.

Egzemplarze zdezaktualizowane można nabyć w Punkcie Wysyłkowym Prasy Archiwalnej „Ruch”, Warszawa, ul. Nowomiejska 15/17, konto PKO nr 114-6-700041 VII O/M.

Bieżące oraz archiwalne numery można nabyć lub zamówić we Wzorcowni Wydawnictw Naukowych Pan-Ossolineum-PWN, Warszawa, Pałac Kultury i Nauki oraz w księgarniach „Domu Książki”.

**TYLKO PRENUMERATA ZAPEWNIĄ REGULARNE OTRZYMYWANIE
CZASOPISMA**